Nr. 33. Warszawa, dnia 19 (7) Sierpnia 1893 r. Rok XIII.

PRAWDA

FILOZOFIJA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

NOWE ODKRYCIA.

Jakiś publicysta niemiecki tłomaczy nieustające wybuchy skandalicznych doniesień prasy francuskiej warunkami rozchodzenia się jej gazet. W Niemczech — powiada on — pisma peryodyczne opierają się na prenumeracie, nie potrzebują więc gonić za podniecającemi wiadomostkami i uciekać się do zmyśleń; tymczasem we Francyi przeważnie czerpią one środki materyalne z rozsprzedaży ulicznej, muszą więc codzień starać się o jakąś krzykliwą lub gorszącą nowinę. Stąd to pochodzą ciągłe „odkrycia,“ demaskowania, zdrady tajemnic itd. Rzeczywiście, do pewnego stopnia jest to uwaga słuszna. Gazeta, która nie posiada stałego koła abonentów, ubezpieczających jej istnienie i codzień ponawia umizgi do czytelników, musi prędzej czy później stać się ladacznicą, musi używać tych sposobów werbowania amatorów, które są właściwe zalotom ulicznym. Roznosicielowi trzeba codzień włożyć w usta jakieś wrzaskliwe słowo, jakieś skandaliczne hasło, którem ściągałby ciekawych do swego towaru. Cudzołóztwo Dumasa — Andrieux okradający kasy kolejowe — Clemenceau na żołdzie angielskim — łapówki Floqueta! — oto zwykłe wykrzyki paryskich kolporterów redakcyjnych, a nieraz tytuły artykułów. Znając ten stan rzeczy, świat przyzwyczaił się nie przywiązywać wagi do „odkryć“ prasy francuskiej, a ona sama, ile razy przekonana zostanie o kłamstwie lub potwarzy, śmieje się do rozpuku z własnych figlów. Dziennik niemiecki, któryby doniósł, że uwiedziona kobieta w kościele wypaliła oczy kwasem siarczanym słynnemu powieściopisarzowi, przyłapany na łgarstwie, zapłonąłby wstydem; paryski *Figaro*, który pozwolił sobie tego konceptu, odpowiedział bez zakłopotania: chcieliśmy wiedzieć, czy Cherbuliez w podobnym wypadku zbudziłby dla siebie współczucie.

Pamiętając o tem, trzeba zawsze, a więc i w najświeższym skandalu bardzo ostrożnie przyjmować opowieści dzienników francuskich. Z drugiej jednakże strony trudno przypuścić, ażeby ten skandal był tylko „manewrem wyborczym,“ nieposiadającym ani cienia prawdy. Jest to zapewne dym zbyt wielki, ale wydobył on się z iskier rzeczywistych. Niejaki Dupas, dymisyonowany urzędnik policyi paryskiej, wydał broszurę, w której opowiada dzieje swej pogoni za zbiegłym Artonem, członkiem bandy panamskiej, którego dotąd nie zdołano uchwycić, bo... nie chciano. Dupas twierdzi, że rząd (za ministeryum Loubeta) kazał mu z drugim towarzyszem wyjechać do Niemiec i Austryi dla ścigania Artona, ale tak, ażeby on im ciągle się wymykał. Szło bowiem o to, żeby lista przekupionych pieniędzmi panamskiemi nie dostała się w ręce tych, którzy całe oszustwo wykryli i ażeby jej posiadaczowi zapewnić bezpieczeństwo za milczenie. Agenci kilkakrotnie wytropili go, jadali nawet z nim śniadania, ale ile razy policya węgierska lub niemiecka, nieprzenikająca komedyi, wskazała im Artona, oni ostrzegli go w porę, ażeby się przeniósł gdzieindziej. Dzięki temu pogoń była daremną, bo inną być nie mogła. Za tą broszurą posypały się w dziennikach dalsze odkrycia, piętnujące Andrieux'go (który pierwszy podniósł zasłonę sprawy panamskiej), Floqueta, Clemenceau'a itd. Gdyby wyznania Dupasa zawierały prawdę, ujawniłyby może najszpetniejszy moment w historyi szwindlu panamskiego. Rząd, powołany do oczyszczenia bagna, pyszniący się swoją czystością, zapewniający publicznie Izbę i naród, że bez miłosierdzia i z całą energią zajmie się wyłowieniem i ukaraniem winnych — i ten sam rząd, wysyłający swego agenta z tajemnem poleceniem, ażeby udawał ogara, a w rzeczywistości ułatwiał lisowi ucieczkę — byłoby to istotnie coś potwornego. Ówczesny prezes ministrów, Loubet, na którego głównie pada ten zarzut, nazwał w liście do dzienników broszurę Dupasa manewrem wyborczym i odmówił wszelkich wyjaśnień. Ale opinia publiczna nie zadowoliła się tą odpowiedzią, zwłaszcza że podobno obecny prezes ministrów miał komuś oświadczyć, iż gdy objął swój urząd, prefekt policyi zapytał go, czy on *rzeczywiście* chce złapać Artona. Na poprzednim więc rządzie spoczywa plama, dotąd niezmazana. Jeżeli zaś, po odtrąceniu nawet wszystkich kłamstw i oszczerstw prasy, zsumujemy winy stwierdzone, to otrzymamy w rezultacie olbrzymią zgniliznę tych sfer, które dotychczas kierowały losami Francyi bądź w parlamencie, bądź u steru władzy. Naród to widzi, dalszemu rozwojowi procesu rozkładowego zapobiedz pragnie, czuje potrzebę powierzenia się ludziom lepszym, czystszym, nowym. Dokonać tego może najskuteczniej przez wybory, które właśnie w tej chwili się odbywają. Jaki będzie ich wynik, czy społeczeństwo francuskie radykalnie oczyści swą Izbę, czy usunie doszczętnie łapowników i szachrajów, czy znajdzie i wyprowadzi na arenę przedstawicieli niezakażonych moralnie, słowem, czy odrodzi swoje ciało prawodawcze — orzec trudno wobec mnóstwa zagadek, wobec potęgi wpływów agitacyjnych i zawsze nieobliczonego zachowania się wielkich mas. To tylko pewna, że naród uświadomił sobie potrzebę jakiegoś głębokiego przełomu w tym kierunku i że ma do rozwiązania jedno z najtrudniejszych zadań swego bytu. Bo gdyby Francya miała dłużej takich przewodników, opiekunów i lekarzy, wkrótce gangrena moralna przeżarłaby jej organizm do szpiku. Żaden inny parlament świata nie przedstawia tylu ludzi pohańbionych, takiego targowiska bezwstydnie obnażonych egoizmów, takiej szajki kre-

taczów. Pierwszorzędnym celem wyborców powinno być spłukanie tego błota, zdezinfekowanie tej kałuży, która całemu światu wstręt sprawia, a na swoich rodakach ciąży straszliwą plagą. Jeżeli więc nawet Dupas całą swą opowieść zmyślił, to jednak wyświadczył usługę krajowi, zaostrzywszy jego czujność podczas wyborów względem panamczyków i wszelakiego gatunku giętkich sumień.

Z AUSTRYI.

Stronnictwa austryackie pod wpływem wyborów niemieckich. — Nowe stronnictwo niemieckie i „państwo niemiecko-austryackie." — Konserwatyści i hr. Taaffe. Głos proroczy dziennika zachowawczego i program optymistyczny prezesa gabinetu. — Los noweli trutnowskiej. — Spory w obozie młodoczeskim. — Ruch społeczny i projekt Izb robotniczych.

Przewidzieć było łatwo, że wynik wyborów niemieckich nie pozostanie bez wpływu na położenie wewnętrzne Austryi i stosunek wzajemny stronnictw tutejszych. Stronnictwa to, nieposiadające ani jasnych programów własnych, ani wybitnych osobistości, pod wpływem lisiej polityki prezesa gabinetu utraciły z czasem tak dalece wszelką samoistność, że każdy prąd silniejszy, rodzący się w państwie sąsiedniem, musi unieść je z sobą i że hasła, odzywające się za granicą niemiecką, znajdują tu zawsze swe echa bez względu na to, czy dadzą się one zastosować do stosunków austryackich, czy też nie.

Rezultatem wyborów niemieckich było zwycięztwo stronnictw skrajnych i socyalistów z jednej, zaś antisemitów i konserwatystów z drugiej strony. To też i w Austryi wszystko, co dzieje się od miesiąca, świadczy o wzmocnionem poczuciu siebie grup zachowawczych i antisemickich, o wzrastającem rozprężeniu liberalnych, wreszcie o potęgującym się coraz bardziej ruchu warstw robotniczych, domagających się udziału w życiu politycznem.

Pierwszym objawem tych prądów było stanowcze oderwanie się narodowców niemieckich od wielkiego obozu liberalno-niemieckiego. Już od lat kilku niewielka liczebnie, lecz nader hałaśliwa ta grupa pod przewodnictwem Steinwendera zluźniła węzły, łączące ją ze stronnictwem Plenera, stając w kwestyach narodowo-niemieckich na stanowisku skrajnem, domagając się od rządu natychmiastowego przeprowadzenia ugody czesko-niemieckiej i żądając dla żywiołu niemieckiego zupełnej przewagi w krajach alpejskich. Dla przywódców liberalnych drobna ta garstka odszczepieńców stała się z czasem nader niewygodną, gdyż chłostała ona ich bezustannie wyrzutem opieszałości w sprawach narodowych, porywczością swą psuła często szyki oportunistycznej ich polityki wobec rządu i rozbijała nieraz układy, toczące się między nimi a hr. Taaffem. Trudno było jednak dla liberałów zerwać wszelkie stosunki ze stronnictwem Steinwendera, gdyż w zasadzie kierowało się ono temi samemi hasłami, co i oni, a otwarte wystąpienie przeciwko niemu poczytanoby przywódcom liberalnym zapewne w niektórych kołach ludności niemieckiej Czech jako zdradę narodu. Nie ulegało natomiast wątpliwości, że narodowcy oddalą się z czasem sami coraz bardziej od byłych swych sprzymierzeńców wedle znanej zasady, że każde stronnictwo skrajne — pozbawione wpływu istotnego posuwa się coraz dalej na swej drodze. To też w ostatnich dniach zaczęły krążyć pogłoski o mającem zawiązać się nowem stronnictwie „narodowo-niemieckiem," któreby zjednoczyło narodowców barwy Steinwendera i — antisemitów. Wreszcie został też ogłoszony program polityczny, przygotowany przez mężów zaufania na wiec mający odbyć się w jesieni.

Program ten okazuje jak najwyraźniej, że osoby układające go starały się zużytkować dla Austryi doświadczenia, zebrane przy ostatnich wyborach niemieckich. Były one świadkami powodzenia antisemitów i konserwatystów, więc też upiększają program swój hasłami zachowawczemi i antisemickiemi. Widziały tryumf socyalnej demokracyi, więc też chciałyby przyłączyć się do ruchu społecznego i żądają prawa głosowania powszechnego. Wreszcie nie chciałyby zbytecznie odstraszyć dotychczasowych swych wyborców, starają się więc te wszystkie sprzeczne dążności ubrać w płaszczyk liberalizmu. I tak np. program oświadcza się stanowczo za szkołą bezwyznaniową — jednakże „z uwzględnieniem miejscowych potrzeb ludności." Celem ochrony warstw ekonomicznie słabszych uznaje on, jak już rzekliśmy, za potrzebne przeprowadzenie reformy wyborczej a obok tego „zwalczanie wszelkiego rodzaju zepsucia we wszystkich dziedzinach życia społecznego, nadewszystko zaś wpływu żydowskiego."

Sztuczny ten zlepek okrasili autorowie jego szeregiem frazesów barwy skrajnonarodowej a w końcu upstrzyli go kilku uwagami treści politycznej, stanowiącemi najciekawszą część programu. Uwagi te zadają mu cios śmiertelny, gdyż dowodzą jasno, że nie jest on dziełem praktycznych mężów stanu lecz niezręczną rozprawą teoretyczną, ułożoną przy biurku i nieliczącą się z życiem. Pierwszem żądaniem nowego stronnictwa ma być „obrona przeciw wszelkim zamachom zmierzającym do zachwiania przewagi żywiołu niemieckiego w Austryi. Ponieważ zaś ani od obecnego ani od przyszłego rządu, dopóki słowiański północny wschód wywiera wpływ na wewnętrzną politykę, nie mogą się Niemcy spodziewać odpowiedniego poparcia, przeto muszą się domagać utworzenia osobnego niemiecko-austryackiego państwa z wyłączeniem Galicyi, Dalmacyi i Bukowiny." Nie słyszymy, co się ma stać z temi krajami; czy przyszłe państwo niemiecko-austryackie rzuca je na pastwę losów, czy wstąpi względem nich w stosunek federacyi. Natomiast jasną jest wedle programu przyszłość czechów, słoweńców i kroatów, którzy zostaną raz na zawsze oddani na łaskę i niełaskę niemców.

Zuchwałym byłby prorokiem ów, co chciałby przepowiedzieć dziś już przyszłe losy wielojęzycznej monarchii Habsburgów. Trudno uwierzyć, aby skład jej dzisiejszy miał być trwałym, lecz wprost niedorzecznem jest przypuszczenie, że zmiany jego odbędą się w kierunku wykreślonym przez program Steinwendera. W każdym razie umieszczenie fantazyi i mrzonek tego rodzaju w programie przyszłego stronnictwa świadczy wymownie o niedołęztwie jego przywódców i nietrudno wywróżyć na tej podstawie rychłe rozbicie się sojuszu klerykalno - antisemicko - germańskiego.

W obozie zachowawczym zwycięztwo odniesione przez konserwatystów niemieckich obudziło nowe nadzieje, nie licząc się z odmiennymi stosunkami Austryi zachowawcy tutejsi zapragnęli za przykładem swych sąsiadów odmładniającej kąpieli wśród fal nowego ruchu wyborczego, do-

---

12)

ARNE GARBORG.

SPOKÓJ

(Przekład z upoważnienia autora).

XVI.

Była ładna wiosna i piękne przedlecie; ludzie szli i uśmiechali się do siebie wzajemnie i wzajem dla siebie byli uprzejmi.

Lecz koło świętego Jana czas pogorszył się; wilgoci było coraz mniej, a skwaru coraz więcej, na polach i niwach zaległo coś, niby zastój.

Ludziska chodzili, wyglądając jakiegoś znaku z nieba; wieczorem szli ku morzu, szukając zwiastunów burzy, rankiem — w góry, szukając tęczy; lecz ponad górami chmury pierzchały a wodne ławy były tylko mgłą; słońce zaś piekło i paliło, jak piec rozżarzony.

Nadzieje malały, ludzi ogarniał lęk i milczeli. Enoch wprawiał się w cierpliwość. Niejeden przysłuchiwał się, jak on wyjaśniał tę karę, jaką Bóg za grzechy na ziemię zesłał. Nawrócić, a nie lękać się winniśmy; ten, co karmi kruki młode i lilie na polu w sukienki odziewa, tak że piękniejsze są od króla Salomona — nie miałżoby nas w swoją wziąć opiekę? Ci wszyscy, którzy dawniej śmieli się z Enocha, teraz wzdychali tylko, pragnąc dla siebie jego spokoju i pogody.

W wierze wzmacniała go świadomość, że Bóg czynił go swojem narzędziem; tak więc z radością spoglądał na dom, wznoszący się na Romstadsheia, a przy jego pomocy wybudowany — na dom Tomasza. Objawem łaski było i to, że Bóg powierzył mu kierownictwo szkoły.

Po świętym Janie spadło trochę deszczu.

...Stali na wzgórzu, pokrytem łąkami, wygrabiając siano z pomiędzy krzaczków i kamieni, mchem obrosłych.

Carolus pracował tak leniwie, że aż gniew brał Enocha. Czyż z cygana tego nigdy człowieka zrobić nie zdoła? Cierpliwości nie tracił, był dla chłopca tak zawsze uprzejmym, myślał, że dobrocią wpływ nad nim uzyska... wdzięczność była taka, że włóczęga stawał się coraz więcej leniwym, zaś ojciec jego już i o płacy jakiejś bąkać zaczynał...

— Jeżeli istotnie żądasz zapłaty, inaczej pracować musisz, Carolusie! Duży już jesteś, czas tedy, abyśmy... ojciec twój i ja— spodziewać się mogli po tobie więcej trochę... ambicyi!

— Dobrze, żeście ojca mego wspomnieli. On najmniej spodziewa się tego chyba, iżbym ja w Haawe głód cierpiał.

Carolus płonął; oczy strzeliły mu dość jasną błyskawicą.

Enoch zamilkł; twarz jego pokryła się szarą bladością.

Carolus nie zmienił się, pozostał lotrem.

XVII.

Niedziela.

Dłużej trochę niż zwykle leżą w łóżkach; około szóstej wstają.

Enoch mimowoli rzuca okiem na niebo; wczoraj wieczorem tak pięknie o deszcz prosił. Niebo jest czyste, jasne — wszędzie.

Nie widać nic prócz słońca i miękkiego błękitu, od fjellu aż do morza. Na południo-zachodzie kilku lekkich, białych pasków, niby piór, czy wachlarzy na sklepieniu. Gęsta mgła na morzu — to opar tylko.

Ostatni, przejrzysty obłoczek wznosi się z sitowia Reielandzkiego i błękitną wstęgą rozpływa się w powietrzu. Świeżość poranku i chłód; lecz słońce grzać już za-

szli bowiem odrazu do przekonania, że obecna liczba ich mandatów poselskich nie odpowiada istotnej ich sile i że z zapasów na arenie wyborczej, rozpoczętych w tej chwili, musieliby wyjść zwycięzko. Niespodzianie więc odezwał się wśród ciszy letniej głos pewnego organu stronnictwa zachowawczego, zapowiadający na sesyę jesienną z całą pewnością rozwiązanie rady państwa. Naprężenie stosunków w obecnym parlamencie doszło — wedle twierdzeń owego pisma — do tego stopnia, że rząd nie potrafi już w jesieni zlepić żadnym sposobem większości. Hr. Taaffe liczy wprawdzie na to, że uda mu się pozyskać dla swej noweli trutnowskiej głosy Koła polskiego i Hohenwartowców, lecz wszystko przemawia narazie przeciw temu przypuszczeniu. Zarówno polacy jak konserwatyści oświadczyli dotychczas, że nie zgodzą się żadną miarą na uszczuplenie autonomii sejmów krajowych i nie ma przyczyny, dla której stronnictwa te w kwestyi tak zasadniczej miałyby odstąpić od obecnych swych zamiarów. Wiemy więc z pewnego źródła — tak zakończył organ klerykalny swe wywody — że prezes gabinetu, trawiony ciężką chorobą i nie czując w sobie siły potrzebnej dla przezwyciężenia tych trudności, postanowił chwycić się środka ostatecznego: rozwiązania parlamentu.

Zapowiedź ta, wygłoszona w formie tak stanowczej, wywołała naturalnie popłoch nadzwyczajny. Szczególnie stronnictwo liberalno-niemieckie przeczące rozpaczliwie twierdzeniu konserwatystów, dowiodło zachowaniem swem w tym wypadku wymownie, jak mało oczekuje od nowych wyborów i że widoków ich budzi w niem więcej obawy, niż nadziei. Skończyło się tym razem na strachu. Mimo uporczywego milczenia prasy urzędowej przekonano się bowiem wkrótce, że stronnictwo zachowawcze wygłosiło w formie faktu — co było tylko jego życzeniem.

Sama jednak okoliczność, że konserwatyści życzą sobie nowych wyborów, zasługuje na uwagę wobec położenia istotnie dość trudnego, czekającego rząd w jesieni. Koło polskie nie może z przyczyn zasadniczych udzielić mu swej pomocy dla przeparcia ustawy, skierowanej przeciw sejmom krajowym, a klub Hohenwarta jak się okazuje obecnie, pomocy tej odmawia z powodów faktycznych. Jakiż więc będzie los noweli trutnowskiej, której Niemcy domagają się od hr. Taaffego, a która ma stanowić zadośćuczynienie za zniewagę, doznaną przez nich i przez rząd od młodoczechów w sejmie praskim.

Pytanie to mogłoby niepokoić prezesa gabinetu, gdyby nie miał do czynienia ze stronnictwem tak spróchniałem wewnętrznie, jakiem jest stronnictwo Plenera, ukrywające od lat kilku pod pozorami energii bezradność zupełną. Każde jego ultimatum, przedstawione rządowi, było dotychczas tylko przejściem do ustępstw. I w tym wypadku prawdopodobnie nie będzie inaczej. Hr. Taaffe obrał, jak zwykle, system przewlekania nużący i ubezwładniający wszystkie strony, z któremi wchodzi w układy. W najlepszym razie, gdyby rządowi udało się nawet przeprowadzić nowelę w parlamencie i Izbie panów, sprawa sądu trutnowskiego musiałaby przyjść dopiero przed sejm czeski, a gdyby ten w ciągu roku całego nie udzielił swej zgody, wówczas rząd miałby prawo do utworzenia sądu drogą administracyjną. Niemcy musieliby więc czekać prawie dwa lata na załatwienie jednej tej sprawy. Czy dalekie te widoki potrafią zagrzać ich do stanowczego działania, na które nie zdobyli się dotychczas i do urzeczywistnienia groźby, tylekroć powtarzanej wobec rządu? Jako biegły psycholog hr. Taaffe widocznie nie bardzo się obawia tej możliwości. To też osoba blizko z nim zaprzyjaźniona nakreśliła niedawno w piśmie staroczeskiem obraz położenia obecnego w farbach różowych. Wewnętrzna sytuacya monarchii w świetle zapatrywań prezesa gabinetu przedstawia się mniej więcej tak: „Na razie panuje zawieszenie broni, wywołane naprzód porą roku, a potem stanem zdrowia hr. Taaffego“ (Dodaję, że choroba prezesa ministrów wedle krążących tu pogłosek jest ciężką i nieuleczalną). „Rada państwa zostanie zwołana na dzień 23 września. Program sesyi pozostanie taki, jak dotychczas; jeżeli czego nie da się załatwić dzisiaj, odłoży się to odrazu, ile możności, na pojutrze; oczekiwanie, lawirowanie, życie z dnia na dzień, unikanie wszelkich ważniejszych kwestyj. O powołaniu ponownem niemieckiego ministra hr. Taaffe nie chce absolutnie nic słyszeć; w żadnej innej sprawie nie oświadczył swego zdania z taką jasnością i nie dwuznacznością.

Wogóle chciałby hr. Taaffe w tym samym kierunku pracować, co dotychczas wspólnie z prawicą i lewicą, z małem wszakże zboczeniem igły magnesowej ku prawicy. Jest on teraz bardziej, niż kiedykolwiek, przekonany o trafności swej polityki.“ Oświadczenie to pochodzące z kół najbardziej do hr. Taaffego osobiście zbliżonych jest dlań nader charakterystycznem; każde słowo w niem cechuje zarówno niewzruszalny optymizm prezesa gabinetu austryackiego, jak też właściwą mu dobroduszną otwartość graniczącą czasami — z cynizmem.

Być może, że przekonanie hr. Taaffego o trafności polityki, którą posługiwał się w ostatnich latach wzmocniło się wskutek najnowszych zajść w obozie młodoczeskim, dowodzących, że cel do którego dąży ukrycie prezes ministrów nie jest mrzonką i że pierwej lub później jedyne stronnictwo, które dotychczas chytrym zabiegom jego przeciwstawiało opór silny i konsekwentny może uledz rozkładowi wewnętrznemu a tem samem stać się czynnikiem systemu rządowego. Już dawno wśród grupy młodoczeskiej zaznaczył się antagonizm między zwolennikami Gregrów a drobną frakcyą t. zw. realistów, która to ostatnia zawsze zdradzała dążności oportunistyczne i częstokroć w czasach licznych przesileń parlamentarnych ostatniego roku zaliczoną bywała przy kombinacyach politycznych do przyszłej większości rządowej. W ostatnich dniach ogień zawiści i uraz wzajemnych, tłumiony dotychczas przez wodzów obu grup młodoczeskich, wybuchł wreszcie otwarcie a chociaż w tej chwili pożar zdaje się już zgaszonym i niebezpieczeństwo usuniętem, przecie przypuszczać wolno, że tlą tam jeszcze iskierki, które hr. Taaffe i jego sprzymierzeńcy potrafią rozdmuchać znów przy sposobności korzystnej.

Przyczyną tych sporów był fakt na pozór nader drobny: nieporozumienie istniejące od pewnego czasu między Juliuszem Gregrem, wodzem młodoczeskim i naczelnym redaktorem głównego organu stronnictwa *Narodni Listy* a prof. Mazarykiem, przywódcą grupy „realistów.“ Wywołała je uwaga o zachowaniu się Gregra, jaką Mazaryk miał uczynić wobec dr. Sromoty, należącego do stronnictwa staroczeskiego. Mazaryk miał opowiadać, że namiestnik czeski, hr. Thun, oświadczył mu, iż młodoczesi nie są tak dzicy, jak się wydają i można ich obłaskawić. Dr. Sromota, który słowa te prof. Mazaryka rozgłaszał, utrzymywał, że uwaga namiestnika odnosiła się do przyrzeczenia Juliusza Gregra, danego namiestnikowi, że *Narodni Listy* nie będą występowały przeciw trójprzymierzu i że złagodzą dotychczasowy ton. Całe to opo-

---

czyna. Ponad błotami gromadą wirują czajki o głosach kobiecych. Jaskółka wzbija się coraz wyżej, aż niknie prawie; potem zawiera się gdzieś w górze, i śpiewa, i wzlatuje.

Wypędzają bydło, owce. Skacząc, becząc, rycząc trzoda niby w tańcu posuwa się ku łące. Krowy, cielęta, jagnięta i owce bawią się ze sobą, trą się, biegną i podskakują; cielęta straszą owieczki, krówki młode oddają się pieszczotom miłosnym; dzwonki brzęczą, dźwięczą, wszystko jest słońcem i weselem letniem.

W niedzielę Carolus jest pastuchem; niedbale, zwolna popędza trzodę. Kij pasterski trzyma w ręce, skacze i tarza się po ziemi, jak cielę.

Daleko, na zachodzie, jaśnieją połyski bladego morza. Brunatne i białe żagle kołyszą się tam w rannym podmuchu; na samym skraju spoczywa czarny pas dymu parowca. Carolus podrzuca się w pląsach; kto wie, na przyszłą niedzielę i ja może tam będę!

Ręce podkłada sobie pod głowę, leży i patrzy nieruchomie w widnokrąg południowego zachodu, w delikatne, miękie zarysy gór i w morze dalekie. Tu i owdzie strzelają kontury skały, czy też wzgórza, może cmentarnego, lekkie, jasne i jak kula okrągłe; spoczywają w nich skarby ukryte. Może skrzynia srebrników; lecz wewnątrz siedzi rycerz i ostrym mieczem skarbu owego broni...

Powietrze jest tak przejrzyste, że łatwo odróżnić każdy kamyk, mrowisko każde w odległości największej. Tu i owdzie żegluje wesoły, biały obłoczek letni. Hen, daleko ponad wzgórzami i równiną jaśnieje w blasku słonecznym kościołek Heialandzki.

Jakie to miganie w powietrzu! Morze i wszystkie jasne linie wzgórz niebotycznych poruszają się, drgają, niby miękka płynąca fala.

Ach, jak dobrze i ciepło! Słońce grzeje młode jego ciało, miły powiew ucho pieści. Wokoło cisza! Tylko w krzecince poświst jakiś słychać; strumienie szumią; Carolus zapada w marzenia.

Podczas takich dni słodkiem jest życie cygana. Flaszka i karty... W słońcu — dziewczyna leżąca w cichem, leniwem omdleniu.

— Nie, chłopem więcej nie będę!

— O matko, matko, żeś też, pomyśleć mogła o tej córce chłopskiej dla cygana twego! Serina mnie się boi od dnia owego, kiedy w stodole ramieniem objąć chciałem jej szyję. A ładna dziewczyna; smukła i krągła, o błękitnych źrenicach... o takich miękich, delikatnych licach i o dołkach tak słodkich, słodkich!..

Ale czekać na nią nie mogę.

— Chyba, że, jako kapitan wrócę — a ona wolną jeszcze będzie. Kto wie? Kapitan C. M. Tomassen...

Biednemu Gunnarowi żal trochę będzie. Ale tu dłużej wytrzymać nie mogę. Ten święty Enoch z dniem każdym gorszym się staje; hehe, święty Enoch. A teraz czas, ojciec niedaleko... Naprzód do niego. A potem do miasta — na okręt. A gdyby nawet nie odrazu się udało, mam przecież teraz dom, do którego zajść mogę. Do miasta więc, jutro raniutko, zanim Enoch spostrzedz się zdoła. A Gunnar niech przyjdzie potem, po konfirmacyi!

Sen go morzy, leży przez chwilę napół drzemiąc, wokoło słyszy coś niby szum lekki, senny. Miły, cichy szum letni. Wzdłuż pagórków fale światła. Białe opary, daleko, daleko fjell — niby obraz z baśni jakiejś wyjęty. Szum—szum... śpiewny szczebiot strumyków i szum; zdala — odgłos dzwonków. Zasypia wśród tego wielkiego spokoju snem cichym, słodkim, goniąc jeszcze oczami bujające i kołyszące się przed nim senne marzenia.

Wysoko na górze stoi jakiś mąż. Wyciąga długie ramiona — to szalony Roland. Nie, to ojciec. Stoi i woła: Carolus! — Carolus wyrywa się z sennego omdlenia, chce biedz ku niemu, widzi go prawie jeszcze stojącego na kamieniu, słyszy niemal echo

wiadanie wywołało publiczną polemikę między Gregrem a Mazarykiem, która przez pewien czas groziła rozbiciem klubu młodoczeskiego.

Gregr oświadczył, że słowa hr. Thuna odnosić się mogą tylko do jednego jego listu, który pisał do namiestnika jeszcze w czasie wystawy praskiej. Wówczas to hr. Thun zawezwał do siebie Gregra i prosił go, aby w *Narodnich Listach* nie podawano wiadomości o przybyciu na wystawę słowian, a to w tym celu, aby zapobiedz demonstracyom na dworcu kolei, gdyż obawiaćby się można, że cesarz nie przybędzie na wystawę. Gregr przyrzekł zastosować się do tego życzenia, lecz tymczasem bez jego wiedzy już następnego dnia zamieszczono w *Narodnich Listach* podobną wzmiankę. Wobec tego Gregr napisał do hr. Thuna list, w którym usprawiedliwiał się z tego powodu.

Zarówno uwaga pierwotna Mazaryka, jak i wytłomaczenie, którego udzielił następnie Gregr, zgodne są niewątpliwie z prawdą i trudno dopatrzyć się w postępowaniu wydawcy organu młodoczeskiego czegoś, co mogłoby być gorszącem dla jego stronników. Mimo to wywiązała się na tej podstawie zawzięta polemika między *Narodniemi Listami* a *Czasem*, organem stronnictwa realistów, która zluźniła węzły łączące dotychczas obie grupy młodoczeskie ze sobą. *Czas* wystąpił z twierdzeniem, że stronnictwo realistów, łącząc się swego czasu z młodoczeskiem, nie przyjęło wcale młodoczeskiego programu, lecz pozostało przy swoim. Zaprzeczyły temu *Narodni Listy*, utrzymując nie bez racyi, że żadne stronnictwo nie przyjmuje do swego grona ludzi, wywieszających własny program. Wreszcie opuszczając pole dyskusyj zasadniczych i wracając do pierwotnej waśni osobistej, radykalni członkowie klubu młodoczeskiego zażądali wykluczenia Mazaryka w tym celu, aby przez to spowodować wystąpienie wszystkich realistów. Komitet wykonawczy, zbadawszy sprawę, wydał wyrok iście salomonowski, gdyż — odroczył załatwienie prośby i wysłał do organów obu stron komunikat z prośbą, aby tymczasem zaprzestały dalszej polemiki. Burza więc tymczasem zażegnana, lecz nikt nie ręczy za to, że nie wybuchnie znów lada chwila.

Obok tych drobnych sporów występuje tem potężniej na widowni życia publicznego Austryi ruch społeczny, którego przyczyną bezpośrednią jest również wynik wyborów niemieckich, a celem — zdobycie praw politycznych dla klas robotniczych. O ruchu tym pomówię obszerniej w liście najbliższym. Doprowadził on w krótkim stosunkowo czasie do tego nadzwyczajnego u nas rezultatu, że rząd postanowił przedstawić w najbliższej już sesyi parlamentarnej projekt utworzenia Izb robotniczych na wzór istniejących tu handlowych, rozporządzających pewną liczbą mandatów w Radzie państwa.

S—l.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Orędzie prezydenta Stanów Zjednoczonych zawiera groźbę dla producentów i posiadaczów srebra, gdyż zaleca, aby rząd przestał od nich kupować ten kruszec, któremu tym sposobem zadanoby cios śmiertelny. Dawniej, kiedy jeszcze nie spadła maska z rozmaitych interesów, przebranych w szaty dobra publicznego, naiwne społeczeństwa sądziły, że w sporach o monetę złotą lub złotosrebrną szło stronom o jakieś wyższe względy. Dziś już prostaczkom wiadomo, że tu chodzi o zwyczajny geszeft. Bimetaliści — zwłaszcza amerykańscy — mający olbrzymie zapasy srebra, którego nie mogą zużytkować a raczej pragnęliby podtrzymać jego cenę, walczą rozpaczliwie o zachowanie go dla monety obiegowej. Cleveland, który chciałby raz złamać potęgę tych spekulantów, wzywa kongres do zerwania z nimi umowy i zamknięcia kas państwowych dla ich produktu. Podobno wszakże spodziewają się oni ratunku od senatu, w którym zasiada wielu umiejących odczuć ich boleść.

Gladstone dotrzymuje przyrzeczenia i nie puszcza członków izby niższej, dopóki nie uchwalą bilu irlandzkiego i budżetu. Fabrykanci prawa pocą się, szemrzą, ale cóż mają począć, kiedy „sławny starzec" stwardniał w uporze i ani myśli ustąpić. Żelazna to wytrwałość i siła tego człowieka. Podczas gdy wiek przygniata go brzemieniem lat, on spracowany, zmęczony, pośród upałów prowadzi od kilku miesięcy codzienną, wyczerpującą walkę za „ostatnią swoją ideę." Nic dziwnego, że tacy zwyciężają.

Narada ministrów skarbu państw rzeszy niemieckiej pod przewodnictwem Miquela zakończyła się podobno harmonią uczestników i wynalezieniem źródeł dla pokrycia wydatków na zwiększoną armię. Do czyjej skóry wezmą się głównie — dotąd nie wiadomo, chociaż giełda i wszystkie jej przystawki już drżeć zaczęły. Piwo ma być nietknięte.

Czesi wynaleźli sobie inny powód do walki z niemcami — tablice z nazwami ulic. Ponieważ w Pradze i innych miastach są niemiecko-czeskie, więc żądają oni, ażeby takie same zawieszone zostały w Wiedniu, gdzie mieszka poważna ilość czechów. Naturalnie sprawa ta wywołuje ogniste artykuły, wiece i bijatyki.

Zatarg górników z właścicielami kopalni węgla w Anglii jeszcze się nie skończył, chociaż zbliża się już ku końcowi. Górnicy otrzymają ustępstwa.

Nie podejmujemy się wyjaśnić czytelnikowi, kto z kim prowadzi wojnę w Brazylii, Argentynie i La Placie, kto jest zwycięzcą, a kto zwyciężonym, kto przedstawia władzę prawowitą, a kto rokosz, kto rządzić będzie jutro i kto rządził wczoraj; wytworzył się tam bowiem taki chaos stosunków, że wątpimy, czy ktokolwiek w Europie umie rozplątać jego nici. Nadchodzące wiadomości z pola walki nie mają żadnego znaczenia, gdyż albo są kłamliwe, albo niczego nierozstrzygające.

BADANIA NAUKOWE.

LOTAR DARGUN.

(Wspomnienie pozgonne).

II.

Wspomnieliśmy już wyżej, że według Darguna, samo stwierdzenie istnienia pokrewieństwa przez same tylko matki nie wystarcza — należy bowiem wiedzieć, co było przed niem i co się obok niego rozwijało." Nie rozstrzygając kwestyi heteryzmu, Dargun stawia hypotezę, że przed czasem, w którym panowało pokrewieństwo przez same tylko matki, istniał stan, niemający za podstawę ani

---

wołania: Carolus! — Idę! — i spieszy. Naraz ojciec znika. Nie widać już nic. Znikł jak zjawisko w miganiu fali słonecznej. Carolus przysłania sobie oczy dłonią i patrzy nieruchomie; jeszcze wierzyć nie chce, że śnił tylko.

— Tak, tak, ojcze; przyjdę dzisiejszej nocy. Nie lękaj się, gdy zastukam w okno; nie będzie to moskro *), hehehe... Pst! pst! Ale dzięki Bogu, dziś już dzień ostatni. Jutro wieczorem będę w mieście, a potem na morze, daleko, na błękitne morze; hurra *my boy!*

XVIII.

Kiedy nazajutrz jęto się wybierać w pole, Carolusa nigdzie nie było. Enoch udawał, że nic sobie z tego nie robi. Wróci — mówił. Lecz gdy na południe do domu zeszli, Korneliusz, syn Helgego, który właśnie tej nocy powrócił z ćwiczeń, z Krystjansundu, opowiedział im, że przed północą widział chłopca, z tłomoczkiem w rękach, drepczącego ku południowi, w stronę Ramstadsheia.

I jeszcze Enoch wiary nie dawał. Niemożebne! Carolus nie uciekł; wróci, wróci, wieczorem będzie tu, u nas, i przepraszać będzie i prosić.

Nie tak mu przecież za dobrodziejstwa zapłaci. Pracował nad nim tak długo, tak cierpliwie i tak rozsądnie... I jak tu chłopcu dobrze było... jak dziecku rodzonemu. Gdyby był po trzykroć cyganem, to jeszcze nie w ten sposób winien podziękować.

Lecz wieczorem przyszedł cygan — Tomasz. Jął żałośnie zawodzić o „smutnym wypadku, który się wydarzył" i przepraszać w słowach, najdziwniej powikłanych. Dyabeł we własnej osobie chłopca opętał; gwałtem wyrywa się na morze... Uciekł dziś do miasta i tam o miejsce na okręcie się stara.

— A więc prosić was chcę, Enochu, abyście w wielkiej naszej trosce i rozpaczy, z powodu chłopca żalu do nas nie mieli.

Teraz już wątpić było niepodobna. Enoch milczał, oziębł.

To więc była podzięka. Podzięka za czyn dobry i dobre zamiary! A czy chłopiec włóczęgą będzie, czy też z morzem się pobrata — wszystko jest jedno; zgubiony jest w każdym razie.

— Jakże się wszyscy śmiać z niego będą! Ot, co mu przyszło z tej hołoty cygańskiej! Wszyscy przeciwnicy jego, w łonie komisyi dla ubogich i poza nią, wszyscy ci, którzy byli niechętni staraniom Enocha o byt cygana — Tomasza... jakże teraz cieszyć się będą. A pastor powie: Chyba źle się z nim obchodził, kochany Enochu... A Lars Danielsen i przyjaciele jego wzdychać będą na zgromadzeniach swoich, wzdychać i mówić, że Enoch Haawe nie dość miał prawdziwej mądrości, aby tak trudną rzecz do końca módz przeprowadzić.

Ogarnęło go zimne, twarde jakieś uczucie. Przedewszystkiem przeciwko księdzu, który go przynętą w całą tę historyę z Tomaszem wprowadził. Gdyby Tomasz nie posiadał domu, Carolus nie byłby uciekł; wszystkiemu winien był pastor; a uczynił to nie z miłości ku Bogu, lecz z pożądania ziemskiej sławy: chciało mu się pochwał możnych tej ziemi. Wszystko zaś. co nie płynęło z wiary, grzechem było... Przebiegłemi słowy skusił Enocha do grzechu; nie narzędziem był Boga, lecz księdza, który sobie brał honory, jemu atoli zostawiał hańbę i karę. Wpadł w taki gniew, że przez dwie niedziele z rzędu do kościoła nie poszedł.

Po upalnym lecie przyszła brzydka jesień i jeszcze brzydsza zima. Śnieg zasypywał wszystkie drogi; raz po razie zmiatać go musieli. I leżał tak miesiącami.

Potem nastało powietrze łagodne, błoto i deszcz ze śniegiem; północno-zachodni wicher szarpał z głuchym poświstem krokwie i belki, niebo zawisło nad ziemią błękitno-czarnym całunem tak, że słońca ni-

*) Moskro — w dyalekcie cygańskim: wójt.

zasady pokrewieństwa, ani zasady władzy rodzinnej. Zawiązek rodziny, „wytworzony wskutek działania potrzeb ochrony, pokarmu i płci“ — niema żadnej wewnętrznej struktury. Ośrodkiem niewielkich grup społecznych są mężczyźni, niezwiązani jednak z członkami ich ani pokrewieństwem, ani władzą *). „Jest on koniecznem ogniwem ewolucyi, powtarzającej się w analogiczny sposób w historyi własności. Indywidualizm i atomizm, nie zaś komunizm, jak to sądzono błędnie, stanowi pierwsze początki rozwoju, które drogą do indukcyi jeszcze skonstatować można.“ W taki oto sposób wiążą się badania czysto socyologiczne autora z socyologiczno-ekonomicznemi, do których przechodzimy obecnie.

Przy rozważaniu organizacyi rodziny kwestya następczości jednego okresu po drugim ma pierwszorzędną wagę. Pojedyncze stopnie na drabinie systemów pokrewieństwa badać można tylko w odniesieniu do stopnia kultury, jeżeli o jakiemkolwiek wogóle pierwszeństwie mówić można. Gdy bowiem swierdzimy, że na długo przed epoką pokrewieństwa przez same matki istniał czas zupełnej anarchii rodzinnej, a prawo macierzyste wyprzedzało rodzinę agnatyczną, to musimy dowieść, że ludy, u których zachodzi pierwszy stosunek, znajdują się u samego spodu drabiny kulturalnej, że te, u których panuje system drugi, znajdują się pośrodku jej, a na szczycie rozwija się system trzeci. Bez badań nad istotą kultury niemożliwe są poprostu studya nad systemami pokrewieństwa, Pojmujemy łatwo, że Dargun musiał i nad tą kwestyą pracować. Oto główne rysy rozumowania jego, jakie przeprowadził w wielkiej rozprawie niemieckiej „O początku i rozwoju własności.“ Występuje tutaj przeciwko Laveleyowi i jego zapatrywaniu, że własność wspólna była pierwotną. Odszukuje indywidualną u australczyków, na Nowej Gwinei, u weddów na Ceylonie, u ludów środkowej Afryki po nad równikiem, u półkoczowniczych narodów Ameryki północnej znajduje, że ta forma własności jest wcześniejszą od wspólnej. Ponieważ zaś należało jeszcze wykazać, że ludy te są mniej ucywilizowane, aniżeli wyliczone przez Laveleya, więc przy szukaniu stopnia kultury stawia i przyjmuje dwa sprawdziany: przedewszystkiem bada fakt, czy lud dany znajduje się już w fazie rolnictwa, powtóre rozpatruje organizacyę polityczną. W zgodzie ze Spencerem uznaje Dargun większą lub mniejszą centralizacyę za wyższy lub niższy poziom kultury itd. Praca ta jest słabszą od innych, czysto prawnych. Zresztą sam autor zamierzał raz jeszcze powrócić do tych kwestyj, ale nie udało mu się obietnicy dotrzymać.

Cela klasztorna uczonego, który zaprzysiągł rozbrat zupełny ze światem zewnętrznym i okrył się potrójnym pancerzem niewiadomości, wstrętu i pogardy dla walk życiowych — będzie zawsze czemś w rodzaju „kamery obskury,“ która otrzymuje światło z zewnątrz za pomocą jednego drobnego otworu. Ale jakkolwiek byłby ten otwór mały, to jednak dzięki niemu i po zżółkłych kartach książki igra od czasu do czasu słońce potrzeb życiowych i do uszu zakonnika dochodzą nie zawsze harmonijne tony pieśni „nędzarzy“ i piekielnych zgrzytów „nędzników.“ Znakomity anatom i fizyolog angielski Tomasz Huxley, zstąpiwszy z trójnoga badań specyalnych, odsuwa skalpel i mikroskop, ażeby rzucić się w wir zgiełku ulicznego, ażeby odnaleźć i zrozumieć tętno życia. Tej stronie jego charakteru zawdzięczamy dzisiaj już cztery tomy potężne „Szkiców“ na przeróżne tematy. Oto dlaczego Lotar Dargun zajmował się zagadnieniami ekonomii społecznej — pewnemi tylko jej zagadnieniami. W większej swej pracy, pisanej w r. 1885, gdzie rozpatrywał stosunek wzajemny „Egoizmu i altruizmu“ w życiu i ekonomii społecznej, stara się wprowadzić na zawsze, jako czynnik stały, altruizm do badań gospodarczych. „Jeżeliby— mówi tam — (str. 4) kto dla tego, że ciepło jest siłą działającą we wszechświecie, chciał wszystkie ruchy objaśnić hypotetycznie za pomocą ciepła — odrzuciwszy np. siłę ciężenia, nie otrzymałby żadnych rezultatów.“ Zupełnie tak samo i badanie stosunków gospodarczych za pomocą metody, uznającej tylko swobodę człowieka, jako jednostki, w kierunku posiadania własności prywatnej i zawierania umów, jest zupełnie niewystarczającą. Teorya ta oparta jest na zapoznaniu instytucyj gospodarskich, praw i urządzeń ekonomicznych, przyjmuje pod uwagę tylko ekonomiczną siłę jednostki, jest ekonomią swobodnie działającego egoizmu. Tymczasem w całej grupie zjawisk ekonomicznych tryskają kastalskie krynice uczuć altruistycznych. Ale, jak w każdem badaniu metodycznem wyosobnić daną siłę albo zjawiska, w których się ona objawia, możemy tylko przy możliwem oddaleniu współrzędnych zjawisk innego rodzaju i — co ważniejsza jeszcze — siłę tę obserwować należy w tych jedynie postaciach, w których ona wyraża się najsilniej. Dla tej właśnie przyczyny, chcąc ocenić wpływ altruizmu w stosunkach gospodarskich, należy go badać w rodzinie i korporacyi. Altruizm Darguna liczy się z egoizmem; nie zamierza burzyć natury ludzkiej, ażeby na jej miejscu stworzyć inną, lepszą może, lecz pragnie budować na historycznie wyrobionych fundamentach. Ten altruizm jest w głównej swej części egoizmem. Egoistą jest ojciec składający pieniądze, ażeby wyposażyć córkę, altruistą pracobierca budujący szpital dla uspokojenia wzburzonych robotników. Właściwie więc jest to tylko objaśnienie formalne (*ego* - izm; *alter* - izm) — niezbyt głębokie, ale w literaturze ekonomii burżuazyjnej brzmiące sympatyczniejszem echem, niż jej prawdy cyniczne. Jakkolwiek więc na tem polu dociekań teoretycznych zbytnia ostrożność objektywisty i bojaźń zgrzeszenia nienaukowością i sentymentalizmem podmiotowym, zaszkodziła wnioskom autora, to jednak ilekroć brał się Dargun do kwestyj praktycznych, do pytań dręczących inteligencyę współczesną, tylekroć mówił inaczej, bo nie rozmyślał tylko, lecz czuł i myślał jednocześnie. Teraz właśnie rozpatrzeć musimy stosunek jego do uczniów.

O ile młodzież surowo sądzi zazwyczaj swych przewodników uniwersyteckich i o ile przeciwko innym profesorom miała zawsze całe bateryę zarzutów, o tyle o Dargunie odzywała się zawsze z uznaniem, co więcej, z miłością. Kiedy ciężkim swym, germanizmami naszpikowanym stylem wygłaszał swe wykłady z katedry uniwersyteckiej, nie tracił nigdy z oczu audytoryum, wobec którego mówił, zachęcając je do umiejętnej pracy, służąc wskazówkami i radą doświadczoną. Najbardziej zjednywała mu szacunek i popularność pełna życzliwości tolerancya. Był człowiekiem niezwykle dobrego serca. Kiedy w roku zeszłym prosiło go grono kobiet o wygłoszenie kursu socyologii najpopularniejszego pod słońcem, przeznaczonego dla początkujących i kiedy nabożni ojcowie miasta i nauki zgorszeni tymi oznakami postępu kiwali głowami — Dargun chętnie przychylił się do owej prośby i tylko brak czasu nie pozwolił mu zaraz w zimowem półroczu przyrzeczenia dotrzymać. Kiedy znowu

*) *Ateneum*, str. 261 i nn.

---

gdy nie widzieli. A gdy wieczorem cichła burza, morze rykiem swoim napełniało powietrze.

Enoch powoli stygł w swoim gniewie; złość ustępowała przed myślami większej wagi.

Nie na pastora trzeba się było gniewać; ten niechaj sam przed Sędzią odpowie...

Stał na klepisku — młócił; dziwna, jak to się mało latoś wszystkiego urodziło. Gorzej jeszcze, niż w zeszłym roku; kłosy nie o wiele więcej, niż w połowie, były pełne. Za cóż go Bóg tak surowo karał — we wszystkiem? Czyż ostygł w miłości? Czyż znowu dawał światu nad sobą panowanie? Czyż znowu blizkim był zaśnięcia?

W wierze stał się teraz surowszym, niż kiedykolwiek. Umartwiał duszę czuwaniem i modlitwą, ciało — postami i ciężką pracą. Siebie umartwiał i dom cały. Jak Dawid przemyśliwał dniem i nocą. Cóż uczynić, aby upokorzyć się tak serdecznie i odzyskać dawny, błogi spokój dziecięcy. Odświeżał dawne zwyczaje i praktyki w najmniejszych i największych rzeczach. Atoli myśli jego stawały się coraz więcej ponure.

Pewnego wieczora, kiedy w stodole rznął sieczkę, zaświtało mu coś nagle, jak błyskawica. Bóg wzgardził jego ofiarą, bo ona ofiarą nie była.

Robota wypadła mu z ręki, stanął jakby bezwładny. Pełen lęku i niepokoju jął rozpatrywać życie swoje w latach ostatnich i rychło spostrzegł, że złożyły się na nie postępki coraz gorsze.

Spadały nań przekleństwa, jedno za drugiem, szatan zaś czyhał we wszystkich kątach i śmiał się.

Enoch wykrzywił usta, cofnął od siebie ręce, jak gdyby chciał siebie samego odrzucić, jednocześnie silnie klasnął palcami, drgnął, obejrzał się, czy kto nie słyszał... zapanował nad sobą i wyszedł.

Nigdy nie modlił się jeszcze tak, jak teraz.

Nabrał brzydkiego zwyczaju: chodząc, nagle stawał, zatopiony w sobie; stał na jednem miejscu długo, jakby przykuty. Powtarzało się to zwłaszcza ku wieczorowi.

— Pewnego dnia robił w kuźni podkowę. Za nim stał szatan, nęcąc ciężką pokusą.

Widział to jasno, jak gdyby ogniem wypisane: utracił łaskę. Za długo przebywał na wzgórzu Tabor; zasnął, a wtedy dyabeł wśliznął się w jego serce i osiadł tam na stało — pod postacią jasnego anioła, aby Enoch spostrzedz mógł oszustwo wtedy, kiedy już będzie za późno. Teraz spostrzegł i teraz jest za późno. Wyrok na siebie czytał w szóstym Liście do żydów.

A dyabeł szeptał mu: Teraz tylko się już powieś, Enochu, tylko się powieś! Haha! no, więc powieś się! — chichotał.

Ogarnęła go dzika rozpacz. Padł na kolana przed kowadłem i zawołał: Boże i Panie! Dopomóż! Nie karz mnie w gniewie swoim, nie doświadczaj w złości! Poza mną stoi szatan, jak lew ryczący. Połknąć mnie chce, połknąć! Panie, dopomóż, dopomóż, pośpiesz się i ocal moją duszę, iżby nie było ze mną tak, jak było z tymi, których pochłonęła przepaść.

Drzwi otworzyły się, Serina wsunęła główkę.

— Przyszedł Lars Danielsen.

Szybko odbiegła, widziała ojca leżącego na kolanach przed kowadłem, z twarzą bladą, zmienioną i dłońmi wyciągniętemi w górę.

Enoch atoli podniósł się, spojrzał ku niebu i łzy napłynęły mu do oczu.

Modlitwa została wysłuchaną.

— O Boże, Ojcze — wyrzekł drżącemi usty — jeszcześ mnie nie całkiem odtrącił.

(D. c. n.)

przeszłej jesieni wyszło piękne dzieło jego, a wydawca czasopisma popularnego w Wiedniu, prosił go o drobną wzmiankę o niem — Dargun dał długą dziesięciostronnicową recenzyę swego dzieła, która sama przez się posiada wartość rozprawki. Są to wszystko drobne rysy — ale i przez drobną kropelkę rosy przegląda cały majestat natury.

Umysłem politycznym nie był, intryg zaściankowych nie rozumiał, od zaszczytów stronił. Kiedy pracował, nie miał ani oczu, ani myśli skierowanych ku świętej Mekce swych braci, ku Wiedniowi, skąd spływają łaski i honory.

Umarł, licząc niespełna lat czterdzieści. Odtrącając z tej liczby lata strawione na przygotowaniach, otrzymamy zaledwie jeden dziesiątek istotnej naukowej pracy. Renan powiedział gdzieś, że nie mówi z uczonym, który niema skończonych lat czterdziestu. W tej formie jest to bezwątpienia paradoks — ale ogarniając to, co nam już dał Dargun, moglibyśmy daleko więcej oczekiwać po nim *).

S. Posner.

LITERATURA I SZTUKA.

IBSEN W ANGLII.

Ibsen jest nawskroś dziecięciem swego otoczenia — dzielnego drobnomieszczaństwa skandynawskiego, z którem ani może się równać episierska trzoda, na jaką dzieje przekształciły odpowiednią warstwę społeczeństwa niemieckiego. Norwegia nigdy nie zaznała poddaństwa, które zniszczyło i wytępiło staroczesną barbarzyńską butność włościańskich tłumów naszego lądu; jej ludność miejska znalazła się również w warunkach, sprzyjających tradycyom hardego gminu rzemieślniczego. To też kiedy obecne stulecie postawiło przed tym odludnym zakątkiem nowe zagadnienia, znalazło ono w społeczeństwie skandynawskiem dostateczną ilość pierwiastku ludzkiego, zdolnego do zrozumienia ducha czasu. Drobnomieszczaństwo Norwegii jest i było ciasnem, ograniczonem, bo inaczej być nawet nie może w warunkach, w których spędza ono życie — w osadzie włościańskiej, która z natury swojej nie sprzyja szerszemu polotowi myśli, a w Skandynawii znalazła jeszcze nową przegrodę od świata w fizycznem ukształtowaniu kraju, oraz majstrowskim warsztaciku z właściwą mu tradycyą powagi pociągła. Ale rzecz najważniejsza, że w swojem łonie wypiastowało ono mnóstwo jednostek, zdolnych do rzucenia rękawicy przeszłości z chwilą, kiedy życie zmieniać zaczęło swój bieg i zwracać w innym kierunku. Naturalnie nie obeszło się bez zapasów pomiędzy tą przeszłością a hasłami teraźniejszości; cała wyższość ojczyzny Ibsena polega na tem, że przełom ów dokonywa się bardzo szybko. Pod wpływem fermentu na powierzchni codziennego życia starcie szło energicznie. Sprawy były drobne, szare, powszednie; polegały one na skardze żony przeciwko samowoli i wybrykom męża, na zatargu pomiędzy poczuciem godności osobistej a trzodowymi instynktami tłumu, na plunięciu w twarz różnym rzezimieszkom, łowiącym ryby w mętnym wirze funduszów gminnych. Ibsen stał się dziejopisarzem tej epoki przełomowej i psychologiem duszy owych temperamentów, które zmiana warunków uczyniła bojownikami przeciwko niedorzecznościom rutyny, zmusiła do protestu przeciwko gwałtom opinii publicznej nad jednostką, napełniła serca ich pogardą dla obłudy. Tacy szermierze, potykający się z całą namiętnością na arenie życia codziennego, odznaczają się nadmierną wrażliwością, dochodzącą niekiedy aż do chorobliwości. Bohaterzy utworów Ibsena noszą w swojej naturze to znamię, a niektórzy krytycy usiłują z tego powodu zniżyć wartość poety skandynawskiego, jako piewcy histeryi społecznej. Mają oni słuszność — pozorną. Są bowiem jako owa małpa, która rozgryzła zieloną łupinę orzecha i z niesmakiem odrzuciła ziarno, dziwiąc się, iż są na świecie głupcy, ktorzy smakują w takim paskudnym owocu...

Utwory Ibsena przedostały się przed kilku laty do Anglii, tego kraju, w którym landlordyzm i mieszczaństwo milcząco skojarzyły się, aby z przyzwoitości i dobrego tonu uczynić cement stateczności społecznej. Praktyczna natura mieszczańskich moralistów pojęła, że ideologiczna część, jeżeli uświęci różne strony pożycia towarzyskiego, jest równie dobrą placówką odporną, jak najzbrojniejsze szańce. *Fashionablizm* jest tam nader ważną zapowiedzią społeczną, o której my w naszym kraju nie posiadamy nawet słabego pojęcia. Sztuka, literatura, prasa oddały się tej marze na usługi. Z małymi wyjątkami powieść angielska jest nudną i ckliwą aż do przesady, musi bowiem być trzymana w takim duchu, aby nawet najbardziej zważająca na przyzwoitość kuropatwa nie zdołała w niej zoczyć żadnego grzechu, lecz przeciwnie wyniosła z niej zwiększony szacunek dla tego, co uchodzi za *fashionable* a odrazę do wszelkiego warcholstwa, do jedzącego rybę nożem, wiążącego nieco inaczej krawat lub noszącego niestosownej barwy pończochy. W takiem otoczeniu ukazują się ludzie, popierający Ibsena, biorą się do rozpowszechniania jego utworów, wprowadzają je na scenę! Wszak te różne Nory, owi wrogowie ludu, te „podpory społeczne“ stanowią najjaskrawszy pamflet przeciwko ideałom fashionablizmu, są wprost policzkiem, wymierzonym obłudzie tych kół, które „przyzwoitość“ i „takt“ obwieściły za jedenaste przykazanie. Na próby zapoznania angielskiej publiczności z Ibsenem odpowiedziano krzykiem oburzenia. Wielkie dzienniki polityczne, wszystkie wpływowe tygodniki, cały ogół krytyków wystąpił z obroną zagrożonego autorytetu przyzwoitości. A John Bull, kiedy rozogni się i roznamiętni, nie rachuje się ze swojemi słowami i nie przebiera w wyrażeniach. Na apostołów ibsenizmu — zresztą nieprzychylna krytyka niebawem ukuła inny termin: *ibsenity*, niby choroba, mania — poczęto wylewać istotne pomyje. I nic dziw. Walka z Ibsenem — to starcie pomiędzy katechizmem przyzwoitości a wszelką myślą krytyczną, to obrona zagrożonego cementu budowy społecznej.

Nora, znana też i na naszej scenie, jest pierwszym utworem, z którym poznajomiła się inteligencya angielska. Było to w r. 1889. *Times* pisze z tego powodu: „Nowa szkoła teoretyków widocznie nader ceni rodzaj nudny, bo Norze brak zupełnie akcyi dramatycznej.“ Inny wpływowy organ odzywa się jeszcze silniej: „Byłoby to istotnem nieszczęściem, gdyby taka chorobliwa i szkodliwa sztuka zyskała uznanie publiczności“ (*Standard*). Są to uwagi jeszcze bardzo łagodne. Inne pisma wystąpiły silniej. „Sztuka bez najmniejszej wartości przynajmniej dla Anglii!“ „Rzecz nienaturalna, niemoralna i ostatecznie nawskroś niedramatyczna.“ „Dziwne wnioski, brak natury ludzkiej... niepodobna nie podnieść słów protestu przeciwko dzikiej i bezpłodnej zasadzie, jaka wygląda z utworu.“ „Utwory poety skandynawskiego nie są stosowne dla sceny angielskiej.“ A jednak jak niewinną jest zasadnicza myśl Nory! Wątpię, czy w naszem dziennikarstwie krom kilku mattoidów, wciąż jeszcze w boćkowskim monitorze i w ideałach W. Pola widzących alfę i omegę stosunku małżeńskiego, znalazłby się jakiś krytyk, któryby odważył się potępić Norę. Zarzuciłby jej może „nadmierną“ idealność, jej mężowi suchość serca, ale nie posunąłby się do żargonu prasy angielskiej. Można sobie wyobrazić, jak uraczono w r. 1891 inny utwór Ibsena: *Rosmersholm*, swojemi dążnościami dalej idący, aniżeli tendencye poprzedniego. Już nie z oburzeniem, ale z pianą wściekłości na ustach przywitano ten dramat. „Garstka wstrętnych i zagadkowych postaci... Ibsen jest zaprawdę tuzinkowym prowincyonalnym dramaturgiem,“ takiemi słowy wypowiada *Times* swoją zgrozę. *Standard* brnie dalej. „Niemożliwi ludzie czynią dzikie wybryki bez widocznego powodu... Zrozumiałe jako tako ustępy sztuki są w najwyższym stopniu przewrotne. Ibsen nie jest ani dramaturgiem i poetą, ani filozofem i moralistą lub reformatorem. Jest to zero, które kompiluje bez sensu różne niebywałe ekscentryczności!“ Inny wpływowy dziennik, *Daily News*, obwieścił utwór za malignę chorego umysłu. Reszta prasy zachowała się niemniej wrogo. „Sztuka — czytamy w jednem z pism jest płodem chorobliwym, w gruncie rzeczy nie jest ona utworem, ale nudnym wykładem fantastycznej zasady, której żaden zdrowy umysł nie uzna. Ibsenizm — to obłęd, który na szczęście dotknął niewielu. Kult Ibsena jest hysteryą!“ „Studya nad obłąkańcami — czytamy w innym — nadają się tylko do odczytów w Bedlamie.“ „Ibsen — głosi trzeci organ — nie nazwał utworu swego farsą tylko dla tego, że odznacza się zbyteczną skromnością. Niepodobna poważnie zapatrywać się na ten dramat.“ A oto sąd jeszcze innego organu już o całej działalności Ibsena: „Styl i treść większości prac skandynawczyka są mierne, często błahe, przedmiot akcyi—niezdrowy. Wszystko jest nudnem ażd o obrzydliwości. Bohaterzy Ibsena nie są ani mężczyznami, ani kobietami lecz straszydłami — podli, nikczemni, niemoralni, chore potwory. Dla kraju byłoby najlepiej, aby całe to marne pokolenie wyzdychało!“ „Gdyby Ibsen zatonął w kale — dodaje jakieś pismo — z dwiema swojemi sztukami i kopą innych, świat na tem nic a nic by nie stracił.“ Kiedy w tym samym roku odczytano publicznie *Widma*, prasa zwróciła się do policyi o obronę zaatakowanej przyzwoitości. Jeden z dzienników wydrukował wtedy cały słowniczek obelg, jakiemi różne organy umazały ten utwór. Jeden z wpływowych krytyków wystąpił z takiem zdaniem: „Lichy skandynawski dramaturg i poeta, a ciasny fanatyk i skończony waryat, został otrąbiony za bożyszcze przez czcigodnych dżentelmenów, którzy posiadają rzadką zdolność tłomaczenia jego utworów, oraz przez przedsiębiorczych geszefciarzów, którzy je drukują. Niekobiece kobiety, pozbawione płciowości samiczki, cała armia obłąkanych waryatek w spódniczce... siedzi, rozdziawiwszy gęby, i bez rumieńca na twarzy, przysłuchuje się, kiedy prelegent odczytuje *Widma*!“ Chyba niepodobna przemawiać silniej w łamach drukowanego słowa... *Hedda Gabler*, którą przedstawiono w tym samym roku, doczekała się niemniej ostrego wyroku, „Jak gdybyśmy — ktoś pisze — zaszli do morgi... Wszyscy leżą na mosiężnych łożach z twarzą ku nam i oczekują, abyśmy ich poznali. Cała galerya łajdaków! Fałszywi mężczyźni, bezbożne kobiety, obłudni przyjaciele, sensualiści,

*) W skreśleniu charakterystyki uczonego naszego korzystałem z notatek nadesłanych mi uprzejmie przez ucznia zmarłego D-ra Stanisława Fajerstejna z Gracu. W ostatnich dniach wyszła broszurka D-ra Jaworskiego: Lotar Dargun (Lwów), jest to niewielka ze znajomością rzeczy, dużą przedmiotowością i mimo to z ciepłem skreślona sylwetka zmarłego, którą gorąco polecamy czytelnikom naszym.

egoiści — wszystkich wystawiono rzędem po za szkłem. Niepodobna nie rozejrzeć się w zbiorowisku tych trupów. Sztuki nadużyto do celów najniegodniejszych. Czy po tym widoku morgi, po tym strasznym obrazie trupów i samobójstw, wstrętnej fotografii nikczemności ludzkiej, czy po tem wszystkiem zaprawdę nie otworzą się upusty nieba? Co za wstrętna sztuka!“

Nietrudno spostrzedz, że wylewane złorzeczenia dotyczą nietylko talentu i wartości Ibsena, ale też niemiłosiernie spadają na bohaterów jego utworów i wypowiedziane zasady. A jednak w wspomnianych sztukach poeta skandynawski nie wybiegł po za ciasne ramki stosunku małżeńskiego — po większej części! Ale *fashionablizm* poczuł wroga, tem większego, że Ibsen posiada właśnie strony w układzie swoich dramatów nader pokrewne tym, w jakim lubuje się John Bull, oraz że z olbrzymią dozą talentu przedstawia obłudę i głupotę „przyzwoitości.“ Jej czciciel nie przebiera w środkach, aby zmiażdżyć tego przeciwnika. Każdy krytyk uważa za swój obowiązek dorzucić cegiełkę potępienia, a gdyby te sławne gromy można było zamienić na istotne głazy, autor oddawna zostałby ukamienowany, nad jego zaś ciałem wzniosłaby się pyramida, swoim ogromem pouczająca innych: patrzcie, tutaj spoczywa nikczemny śmiałek, co rzucił wyzwanie fashionablizmowi! Krytyka angielska po każdym takim ataku zapewnia uroczyście, że Ibsen już nie żyje, że go już pogrzebano, że wyznawcy bzika skompromitowali się ostatecznie i nie odważą się więcej wystąpić przed publicznością. Czyż istotnie? Cyfry, wskazujące rozsprzedaż utworów Ibsena, najlepiej na to odpowiedzą. W r. 1889 ogłoszono drukiem w jednej książce trzy utwory tego poety, w następnym roku ukazało się zbiorowe wydanie. Otóż ktoś obliczył, że publiczność rozkupiła 40 tysięcy tomów! Po Shakespearze żaden w Anglii inny dramaturg nie był tak poczytny! Wściekłość fashionablizmu może dlatego jest tak wielką...

J. Wojewódzki

LITERATURA POLSKA.

Julian Morosz, *Na scenie i za kulisami*, historya parafialna.

Morosz w ostatniej swej powieści wprowadza czytelnika do świata arystokracyi prowincyonalnej. Wogóle świat ten nie może skarżyć się na zaniedbanie i przeoczanie. Dzieje i stosunki jego służą za osnowę dla licznych utworów literackich. Bardzo wielu artystów i pseudo-artystów chętnie pomyka do tej krainy. Gawiedź filisterska chętnie wczytuje się w opisy bytu sfer górnych, obdarzonych dostatkiem i wykwintem kultury. Łatwo ujawnić rozprzężenie moralne, zwyrodnienie duchowe i społeczne tej kasty. Nawet talent mierny potrafi wykroić obraz dosyć żywy z tych stosunków, powiedzieć coś, nie narazić zapatrywań i poglądów ciżby burżuazyjnej.

Łożysko, jakiem toczą się dzieje obecnej powieści, jest wązkie, potok wydarzeń powolny. Nurty powieściowe nie unoszą czytelnika w krainę wielkich prawd społeczno-psychologicznych. Przepływamy okolice znane, nieprzebłyskujące całą różnorodnością i wieloskładowością natury, lecz jakby utworzone ręką niewprawnego i nazbyt żarliwego mistrza ceremonii. „Na scenie i za kulisami“ jest jak gdyby namiotem, sztucznie zbudowanym, do którego autorka zapędziła gromadkę osób, niezbędnych do rozegrania dramatu, z góry ułożonego. Tej więc powieści nie należy sądzić zbyt surowo, lecz wynaleźć tylko odpowiednią skalę krytyczną. Jej postacie bowiem nie są uplastycznione ręką wielkiego malarza, ani też zbadane drobiazgowo i głęboko przez wprawnego i subtelnego artystę-psychologa. Są to figury, drgające życiem połowicznem. Mogą uwidocznić jednak wiele stron ciekawych, postępowanie ich i rozmowy są odbiciem dokładnem życia prawdziwego. Uwagę poświęcimy tylko postaciom głównym, przyjmującym czynny udział w akcyi powieściowej. Należą do nich dwaj Porajscy, Karol i synowiec jego Bogdan. Pierwszy był człowiekiem nader zamożnym, prawowitym członkiem wyższego towarzystwa. Nie głupi, a raczej niepospolicie sprytny, ale przeżyty, zmęczony i powleczony mgłą rozpaczliwego znudzenia. Bogdan znajdował się jeszcze w pełni sił niesteranych, porywów niezawiedzionych, pragnień niezaspokojonych i ducha niezmarnowanego. Karol Porajski bardzo dobrze charakteryzuje pewien odłam arystokracyi naszej. Nie lubi kurzu tradycyi zwietrzałej i nie chce być ślepym hołdownikiem bogów zgruchotanych. Kultem jego jest używanie życia, używanie wyrafinowane, metodyczne, systematyczne. Jest on świadomym epikurejczykiem i sybarytą. Z życia chce utworzyć ogród rozkoszy, korzystać z wielu przyjemności, oddychać wonią miłości zmysłowej. Chce gasić pragnienie z wszelkich kielichów rozkoszy, zawsze się miarkować, wystrzegać się przesytu i mętów. Nie jest zamknięty przed nim świat upodobań umysłowych. I tam wdziera się duch jego, wiecznie łaknący wrażeń i pobudzenia. Rozumną lub dowcipną rozmowę, dobrze napisaną książkę, obraz któregoś z mistrzów, muzykę — wszystko to ceni, jak hufiec korny, mający obsługiwać jego stępiałe i wydelikacone nerwy. Uznaje, że społeczeństwo dzieli się na dwie klasy: wyzyskujących i wyzyskiwanych, podług niego rozumnych i ograniczonych. Otóż woli należeć do pierwszych — rzecz całkiem naturalna. Podług przysłowia francuskiego głodny żołądek jest bez uszów. Reguła ta daleko częściej się stosuje do żołądków sytych. Żołądek tam, jako symbol rozkoszy zmysłowych, staje się panem przemożnym i despotycznym. Wszystko zabiera na zwoje posługi. Inteligencyę więzi pod kloszem lubieżności duchowej. Dusza tych istot wlecze się po świecie, jak w pustyni moralnej, nieczuła na wiele barw i dźwięków, niepojmująca uroku i mocy wewnętrznej dążeń zbiorowych. Są to pasorzyci społeczni i duchowi, przesuwają się po widowni życiowej, jak kapryśna i bezczelna „femme soutenue,“ do której są bardzo zbliżeni wewnętrznie. Względem świata są natrętnymi wierzycielami, natarczywie upominającymi się o procenty od kapitału, którego wcale nie włożyli. Hałas „de petits riens“ — jakby powiedział francuz — ogłusza ich i nie pozwala dosłyszeć szczytnych i tęsknych akordów.

Karol P. zamierzył ożenić się z hrabianką Wandą Julianowską. Uczucie całkiem nie odzywało się w tej sprawie. Żona niezbędna była dla zapewnienia dogodniejszej pozycyi towarzyskiej, dla pomnożenia fortuny, jako parawanu dla spraw zakulisowych. Hrabia Alfred J., ojciec Wandy, był pyszałkiem, despotą rodzinnym, płytkim i głupim, przekonanym jednak o swej wyższości umysłowej. Ożenił się z dziewczyną zamożną, lecz pochodzenia mieszczańskiego i ujął ją w żelazne karby uległości i podniewolności. Żonę odsunął całkiem od córki. Pośród takiego otoczenia, obok ojca, płytkiego zarozumialca, i matki, przygnębionej i bezmownej duchowo, Wanda wyrosła z duszą zziębioną i zatajoną. Dziewczę robiło wrażenie kwiatu, tylko co rozwiniętego, lecz przywiędłego już i martwiejącego. Bardzo często wiało od niej ironią trochę smutną, a bardziej jeszcze szyderczą i pogardliwą. Bogdan kochał ją głęboko i namiętnie, Wanda zarodki miłości starała się tłumić. Przeświadczona była głęboko o nieprzepartym antagonizmie pomiędzy dwiema płciami. Gorzko odczuwała więzy położenia panny w swojej sferze, gdzie starają się zabić wszelką myśl samodzielną i nałamać każdą istotę do typu konwencyonalnego dobrze wychowanej maryonetki. Ognisko rodzinne, które wyziębiło jej duszę, wiele także nauczyło. Starło z duszy barwy młodzieńczej świeżości, było zaś źródłem sceptycyzmu i trzeźwości praktycznej, lecz przedwczesnej. Świat zewnętrzny napawał ją lękiem i niewiarą. Hasłem było: żyć w sobie i w sobie znajdować wszystko, co nam potrzebne. „Nie żądać niczego od ludzi, ani od życia i nie spodziewać się niczego.“ Bogdanowi wyraźnie oświadczyła: „Trzeba żyć dla innych, ale niczego nie wymagać dla siebie, bo nic się nie dostanie.“ Kto od świata ucieka do kapliczki dumań osobistych, dla kogo świat ten jest tylko widownią rozpasania moralnego, ten nie żyje i nie może żyć dla innych. Duch K. Porajskiego został wypaczony w jedną stronę, innemu znów zniekształceniu uległa istota Wandy. On stał się sybarytą cynicznym i poziomym, ona zaś odludkiem moralnym, uosobieniem bezdomności społeczno-duchowej. Niepospolitą racyę miał poeta, który nazwał kobietę „wielkim sierotą.“ Oboje dążą do swobody zewnętrznej. Ideałem „wolnego człowieka“ dla Karola P. jest typ „inteligenta,“ nieznającego wierzeń, zobowiązań moralnych, ideałów, zagadnień. Dla Wandy wolność polega na wyłączeniu się ze świata, na przecięciu węzłów solidarności współczucia. Ona powiada: „Rozsądek powinien nami kierować. Za jego radą iść nam potrzeba; to oszczędzi zawodów, rozczarowań i smutku. Uczucie nas zaślepia: to zły przewodnik, bo wiedzie na trudne drogi, które nie prowadzą do niczego.“ A więc oportunistyczna teorya zdrowego rozsądku nie jest tylko osłonką ciasnoty i płytkości duchowej mieszczaństwa. Dziewczę rodu arystokratycznego tuli się także pod jej skrzydłami. Lecz w tym razie pochodzenie i przeznaczenie teoryi tej są nieco odmienne. U Wandy była ona wyrazem zniechęcenia i bezwładu. Osłaniała ją także od konieczności szerszego spojrzenia na przestwór stosunków ludzkich i zbratania się czynnego z nimi. Była pomocną służebnicą w trzymaniu na wodzy namiętności i porywów nawet szlachetnych. Nie ma chęci do życia, bo życie podług niej to ból, troska, cierpienie, a ona nie ma ani mocy, ani chęci cierpieć.

Powoli snujący się wątek wydarzeń przerwał, właściwie zwrócił w innym kierunku, przyjazd Toli Sawińskiej, młodej wdowy, ucieleśnienia piękna i ponętności. Gdy była jeszcze podlotkiem, pokochał ją namiętnie Porajski, lecz nie chciał żenić się z bezposażną. Ta przeczuła jego zamiary i nagle wyszła za bogatego starca, Sawińskiego. Teraz mieli się zobaczyć znów po długiem rozstaniu. Stępione nerwy magnata, uderzone silnem wrażeniem, zbudziły się i zatętniały życiem, jakiego już dawno nie czuły. Zbudził się z odrętwienia, zapragnął życia, lecz spotkał bardzo powściągliwe, a nawet kłujące zachowanie się. Tola także dzięki różnorodnym zawodom i rozglądaniu się w otoczeniu straciła wiarę w ludzi i wyparła się wszelkich idealnych pobudek. Z dumnym spokojem wyrzekła raz: „Uczucia mną nie rządzą; nie mogę ich zgnieść, zadusić w sobie, ale gdy w drogę mi wejdą, to je omine i postąpię, jak uznam za stosowne.“ Doszła do przeświadczenia, że kobieta po latach dwudziestu pięciu może kierować się tylko rozsądkiem. Stała się bezwolnem narzędziem flirtu i pozłacanych sztucznie zabawek światowych. Wyodrębniła się całkiem od dziewic idealnych i anielic miłości! Nie posiadała żadnych twórczych pragnień życia, przesuwała się zręcznie i swobodnie po je-

go widowni, zrywając róże rozkoszy. Uwięziona w wytwornym przybytku uciech, zatraciła zdolność do życia pełną piersią, życiem szerokiem i bezpośredniem. Nie chciała być konwalią, wabiącą tylko wonią swą, lecz motylem, sączącym krople rozkoszy. Filozofią życiową jej, również jak Karola P., było: nie oddawać się nigdy zupełnie niczemu. Nie miała jednak jego cynizmu bezdusznego i zarozumiałego. Jej sceptycyzm bardziej wymuszony był życiem, spędzonem w zacieśnionym i płytkim duchowo kręgu. Tola odgadła plan Porajskiego poślubienia Wandy i postanowiła zniweczyć jego zamiar i w ten sposób zemścić się. Postanowiła kokieteryą usidlić ojca Wandy, a jednocześnie otaczać względami Bogdana. Hrabia, widząc w tym ostatnim niebezpiecznego rywala, zechciałby go usunąć. Najprostszą drogą ku temu było wydanie zań Wandy. Plan był bardzo zręcznie osnuty i bardzo pomysłowo przeprowadzony. Bogdanowi udało się wreszcie natchnąć smutną Wandę wiarą w życie i w miłość, uzyskał formalne jej przyrzeczenie na małżeństwo. Hrabia znów został umiejętnie przekonany, że Karol, żeniąc się z jego córką, zamierza zająć przodownicze stanowisko w okolicy jego kosztem. Wszystkie takie względy bardzo przychylnie usposobiły go względem małżeństwa Wandy z Bogdanem. Plany Karola zostały więc udaremnione wskutek umiejętnie przeprowadzonej intrygi Toli. Tola należała do istot wrażliwych i uposażonych duchowo. Odczuwała fałszywość i niesmak swego położenia. Miała porywy energiczne, pragnienia żywsze, tylko że siły ducha musiały toczyć się szlakami, wytkniętymi przez otoczenie i zabarwiać się odpowiednio. Odczuwała i uświadomiała wrogie i nieprzyjazne zachowanie się świata względem jednostki. Jako najlepszy sposób przystosowania się i dostrojenia do takich okoliczności uznała tłumienie idealniejszych porywów, szczelne ukrywanie życia wewnętrznego i pomiatanie ludźmi. Na swoje otoczenie spoglądała otwartemi oczyma, widziała jego nicość i bezrząd moralny, rozumiała doskonale takich Porajskich, ludzi użycia, zastoju, próżniactwa. Czuje i rozumie, że kobiety jej warstwy hodowane są w cieplarni, jak kwiaty barwne rozkoszy i użycia. Nie ma sił i mocy ducha wyzwolić się z tego upokarzającego stanowiska. Podług jej mniemania wyrazem stosunków i ich rdzeniem pomiędzy dwiema płciami jest antagonizm, nieustanny bój o prawo panowania i używania. Miłość nie jest stapianiem się dwu indywidualności, spotęgowaniem własnej, lecz środkiem pobudzającym, przyjemnem spędzaniem czasu. Wreszcie Karol ofiarował rękę Toli, iżby odchylić przypuszczenie, iż starał się o rękę Wandy i został odrzucony. Piękna pani bardzo zimno i szyderczo przyjęła oświadczyny Karola, ku niemałemu jednak zdziwieniu; wyjawiła mu, że jest już narzeczoną hr. Srimaldi, bankiera nader majętnego. Do tego kroku skłoniła ją rachuba. Otwarcie wyznaje: „za niego idąc, zyskuję wspólnika, który, potrzebując mnie, zawsze dobrze zachowa się ze mną. Potrzebuje on żony, która potrafi być panią salonu, wyrobić temu salonowi pewną indywidualność, ugrupować wokoło siebie koteryę, jednem słowem zrobić go potęgą towarzyską, z którą każdy musi się rachować.“ Pojmuje zaś, że będąc żoną Karola, zatraciłaby swą indywidualność, czego się bardzo obawia. Wie, że wówczas stałaby się niewolnicą, poddanką, zyskałaby kapryśnego tyrana, któryby chciał zapanować nietylko nad czynem, słowem każdem, ale także nad myślą wszelką. Cała istota byłaby systematycznie łamana. Pojmuje, że się sprzedaje, ale sądzi, że innego wyjścia dla niej nie ma.

U wszystkich tych postaci świata arystokratycznego, zagłuszonych jest wiele stron życia. Wrota do świata ideowego są przed nimi zaparte. Po szlakach życiowych przesuwają się, jak lekkomyślni i upojeni szałem użycia godownicy, lub jak pielgrzymi pustyni uczuciowej. Nie posiadają żadnej wiary, żadnych zasad. Poniekąd są ruinami duchowemi. W objawach duchowych są to natury niebogate. Nie pragną zadźwięczenia wszystkiemi strunami duszy. Zamknięte są w ciasnej klatce użycia zmysłowego i lubieżności duchowej. Jedna Tola nie zasklepia się samochwalczo w ciasnym obrębie egoizmu i rozprzężenia moralnego. Nawiedza ją rój uczuć protestu i odrazy do otoczenia. Brak wiary jednak i siły woli nie pozwala jej wydobyć się z tej bezdni. Pomimo pewnych zalet jest ona kurtyzanką wyobraźni, po rzece ze złota płynie czasami z hulaszczą swadą, to znów z niesmakiem. W topieli tej bezrządu i rozprzężenia chce uchronić tylko swą indywidualność, jako łączną całość popędów i pragnień.

Jako utwór artystyczny, powieść Morosza jest rzeczą słabą. Charaktery są dane zgóry i wiadome. Nowożytna powieść właśnie przedstawia zmianę i rozwój charakterów. Tem się różni np. taki Garborg od Balzaka. Technika autorki przypomina jeszcze bardzo Kraszewskiego.

Br. Ch.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z PODRÓŻY.

(Luźne notatki).

VIII.

Chicago, city, 19 czerwca.

Ulice bez końca, brudy przewyższające wszelkie pojęcie, okopcone domy, a nad nimi atmosfera kurzu, sadzy i pyłu, przez którą przeziera krwawe słońce, nawet podczas upału ślady błota na ulicach, niebrukowane zaułki, godne jakiegoś Ciechanowa, rzędy wielopiętrowych koszar w środku miasta, później szeregi coraz drobniejszych drewnianych domków aż do parterowych, ciężkie powietrze, tamujące oddech w piersiach — oto pierwsze wrażenie, które odniosłem, kiedy po raz pierwszy znalazłem się w tem osławionem mieście. Bawię już od tygodnia, a nie nabrałem jeszcze lepszego wyobrażenia. Chciałem zwrócić się do lekarza o poradę: oczy moje, odkąd przebywam w Chicago, są ciągle znużone, a powieki zamykają się jak do snu, co mi bardzo nie na rękę wobec natury mojej pracy. Obecnie wiem, że jestem najzdrowszy, senność oczu bowiem pochodzi od kurzu, który wciska się do nich. Potrzebuję się myć kilka razy dziennie, a woda jest zawsze brudną. Dodajmy do tego nieustające skwary. Słowem, Chicago, przynajmniej te dzielnice, które poznałem dotychczas, są w najwyższym stopniu opuszczone. Brudy Warszawy w porównaniu z Chicago są jeszcze ideałem czystości. Kiedy wracam późnym wieczorem do domu, stąpam z ostrożnością: chodniki zrobione z desek, obfitują w różne wyniosłości i doły. Złamanie nogi byłoby tutaj wypadkiem najnaturalniejszym.

Chicago jest typowem miastem Zachodu amerykańskiego. Niezmierne przestrzenie, ulice, które ciągną się po kilka mil naszych, drobne drewniane domki. Rzekłbyś, ktoś złożył do kupy kilka setek Szreńsków, Przasnyszów i Radzyminów, tylko ulice uczynił nieregularnemi i szerokiemi oraz opatrzył je siecią drutów telegraficznych i telefonicznych. Sądzę, że porównanie to daje najlepszy obraz miast amerykańskich, leżących bardziej ku Zachodowi.

Chicago, wystawa, 23 czerwca.

Z balustrady, która otacza dach głównego tułowia gmachu przemysłu i sztuki, podziwiam wystawę, która ściele się u nóg moich ze swoimi białymi budynkami, kobiercami zieleni i gajami krzewów, stawami i wysepkami, pełna pełzającego różnokolorowego robactwa ludzkiego. Życiem swojem i ruchem odbija ona ostro od nieskończonej tafli jeziorowej, gładkiej, czystej, spokojnej. Z przeciwnej strony rozpostarło się miasto. Bliższe części — dzielnice zamożnego obywatelstwa, kąpiące się w zieloności — istnieją jeszcze dla oka, lubo są już przyćmione, jakby muślinem, lekkim całunem mgły — z kurzu, dalsze nikną zupełnie wśród tumanów sadzy, jedynie kominy fabryczne wynurzają się z tej chmury i dymią się jeszcze ciemniejszym obłoczkiem, który zwolna rozpływa się w okalającej go atmosferze pyłu. Jeszcze dalej spostrzegam jakieś sterczące baszty, może „drapacze nieba,“ ale nie jestem tego pewny, bo w nieprzezroczystem powietrzu tracę wszelką zdolność odróżniania. Okropny widok! Tutaj, na balustradzie, gdzie kąpię się w morzu czystego powietrza i w niezbrukanych blaskach słońca, a u stóp mam niezmierzoną czystość fali jeziorowej i tafle zieleni, tutaj wszystkie moje zmysły buntują się przeciwko tym przeklętym warunkom hygienicznych, w których jęczą miliony istot ludzkich. Izby bez światła, place bez roślinności, tumany kurzu, najrozmaitsze smrody! Czy miasta nie są istotnymi wrzodami na ciele społecznem? Rozumiem Ruskina, który ze względów estetycznych rzucił rękawicę wszechwładzy industryi nowoczesnej. A jednak — jednak Chicago jest jeszcze ideałem: nie posiada suteryn, ludzie nie gnieżdżą się jak króliki w wielopiętrowych domach, ulice są szerokie. Coby to było, gdyby je zbudowano na wzór siostrzyc europejskich?

Myśl ze wstrętem ucieka od tych obrazów, które splamiły czystość przyrody i unosi się nad tem, co mnie bezpośrednio otacza. Kiedy błąkam się na dole, po powierzchni parku Jacksona, mam zawsze do czynienia tylko z jakąś cząstką Białego grodu. Całość rozprasza się i rozpływa w drobiazgach. Jestem wtedy, jako kret estetyczny, wyróżniający różne „subtelności,“ ale niezdolny do ujęcia całokształtu. Tutaj, na wyniosłości, zdaje się, dwustu stóp, „subtelne,“ tj. krecie, zarzuty i zachwyty stają się naiwnie śmiesznymi. Chaotyczne na dole zbiorowisko budynków układa się w harmonijną i potężną mozaikę, a Biały gród z innem ukazuje się obliczem. Jak wszystko, co jest potężnem i śmiałem, budzi w duszy widza okrzyk zachwytu i uderza w stronę marzycielską. Majaczy mi się, jakbym stał wobec zewnętrznego szkieletu dalekiej, dalekiej przyszłości. Te gmachy, które mam przed sobą, jak odmienne są od wzorów teraźniejszości! Podziwiam te olbrzymie kopuły, na których zbudowanie niegdyś trzeba było dziesiątków lat i mistrzów kunsztu murarskiego, a które dzisiaj rodzą się i dojrzewają w ciągu kilku tygodni. Albo czyż nie arcydziełem jest ten gmach, na którego wierzchołku puszczam ciągle swojej wyobraźni. Potrzebuję kilkunastu minut, aby obejść balustradę; z pod niej unosi się w górę dach szklany głównego korpusu, u nóg zaokrągla się i spada olbrzymia powierzchnia dolnego sklepienia, a kiedy spadła, znowu podnosi się i piętrzy spiczastym dachem, rozpostartym nad pawilonami. Wuj Sam chwali się, że glob ziemski po raz pierwszy dźwiga na swoim grzbiecie takiego potwora. Nowy wiek architektury wynurza się przed nami — wiek żelaza, szkła i staffu, który swawolnie łamie wszystkie tradycyjne formy, kpi ze-

wszystkich trudności architektonicznych, szydzi z siedmiu cudów starożytności. Myśl podniecona szybuje ku przyszłości i ze skrawków Białego grodu układa kanwę poetycką. Ziemia zamieniła się na jeden olbrzymi ogród — pole, na którego łonie uwija się nowa rasa ludzka: silna, zdrowa. Porzuciła ona niektóre maszyny, bo mięśnie łakną ćwiczenia fizycznego; ludzie wolą własnoręcznie grabić siano, niż rozkazywać automatom-maszynom. Wśród zieleni pól i gajów sadu wznoszą się budynki takiej struktury, jaka rozsiadła się w Białym grodzie. A olbrzymie te gmachy są tylko namiotami, które w kilka dni będzie można rozebrać i przenieść gdzieindziej na karku posłusznej kolei — tam, dokąd przesiedla się horda cywilizowanych koczowników. Ów plusk bałwanów jeziora, pociągi kolei elektrycznej, jako wąż wijące się na torze i przesuwające się po nim co minuta, płynące potoki głów ludzkich, wszystko to jakoś sprzyja, aby myśl skojarzyła daleką przyszłość z koczownictwem. A wśród tych hord przyszłości, przenoszących się ze swoimi namiotami z pól nad morze lub w góry, tu i owdzie będą sterczały całe dzisiejsze miasta — opuszczone, z kilku dozorcami — jako pomniki po ubiegłej osiadłej przeszłości, tak samo, jak dzisiaj na niedostępnem urwisku śpi zamek dawnych średniowiecznych sępów, okrutnych, rozbójniczych, ale odważnych i nie frymarczących swoim honorem.

Jedno pytanie dobywa się z głębi i wypływa na morze świadomej myśli. Gdyby Novalisa lub któregoś z romantyków posadzono na balustradzie, po której chodzę, czy i wtedy uciekaliby wyobraźnią do średniowiecznej rozmaitości? Czy cały romantyzm nie był jękiem natur, zduszonych w rozwijającym się szablonie mieszczańskiego filisterstwa z jego krecią estetyką „subtelności," poszanowaniem biurokratycznej gładkości stylu i kultem taktu?

Chicago, wystawa, 24 czerwca.

Przede mną przesuwa się fotel na kołach. Jakaś dama rozparła się w nim i poufale gwarzy z młodzieńcem, pchającym go z tyłu. Twarz młodzieńca oddycha inteligencyą i śmiałością, jasnobłękitna kurtka świadczy, że należy on do służby wystawowej, która zarobkuje, wożąc widzów w fotelach.

Ciekawa to karta zwyczajów amerykańskich, jedna z tych, które sprawiają, że wróciwszy do kraju, długo będę tęsknił po Ameryce. Kiedy organizowano służbę przy fotelach, studenci miejscowego uniwersytetu zastrzegli sobie pierwszeństwo do tego zarobku, a nietylko zastrzegli, lecz w samej rzeczy przywłaszczyli go sobie i w ten sposób zdobywają środki do dalszych studyów. Praca nikogo nie wstydzi! Zasada ta kwitnie w Stanach Zjednoczonych, prosty drwal, jeżeli posiada na karku przedsiębiorczą mózgownicę, może z czasem zdobyć wielkie stanowisko. Europejski student spoliczkowałby tego, kto zaproponowałby mu takie źródło utrzymania. Woli on, ażeby nóżki roztańczonych dam pracowały na niego na dobroczynnych balach, jałmużna go nie wstydzi, ale praca zhańbiłaby...

Chicago, State street, 25 czerwca.

Życie społeczne miewa swoje objawienia. Właściwe mu dążności występują wtedy z całą mocą i wyrazistością. Ulica *State* w godzinach południowych, kiedy *bussiness* idzie najżwawiej, jest takiem wcieleniem istoty dzisiejszego społeczeństwa amerykańskiego. Jak oko zasięgnie, tłoczą się ludziska i tworzą jednę nieprzerwaną masę, która posuwa się zwarcie, ktoś niekiedy z niej wyskoczy, przebiegnie kilka kroków ulicą, a znalazłszy wolniejsze miejsce w tłumie, znowu w nim zatonie. Ale owa zwartość ginie, kiedy znajdziemy się w potoku. Każdy idzie inaczej, ten spieszy się jak opętany, tamten stawia czoło unoszącemu go prądowi. Każdy dba tylko o siebie, cudze odciski lub sukienki wcale go nie obchodzą. Jeżeli idziesz wolno, a nadto zachowasz w sobie źdźbło grzeczności, tj. względność na innych, będziesz popychany na prawo i na lewo, deptany, szturgany. A jeżeli ktoś nastąpi ci na nogę lub szturgnie łokciem, nie oczekuj przeprosin, naprzód bowiem nie ma on na to czasu, powtóre to nie jego, lecz twoja wina, żeś nie miał się na baczności. A nietylko twoje odciski, ale i zegarek jest zagrożony. Pilnuj jednych i drugiego! Każdy zatem patrzy z podełba na wszystkich innych, a ci znowu na niego. *Homo homini lupus est*, takiem jest prawna zasada, rządząca ludzkim potokiem na *State street.* Nastało najdoskonalsze równouprawnienie płci: mężczyzna nie ustąpi kobiecie, kobieta zaś, kiedy noga męzka przydepcze jej jakiś frendzelek u sukni, niech nie czeka uniewinnienia. A kiedy spadnie ulewa i parasole rozepną się w górze na głowami, nastaje istna bójka — prawo mocniejszego panuje, pięść zwycięża, wszelka etyka, oparta na solidarności, zostaje wyklętą. Zbiorowisko wrogich atomów — nic więcej! Na drobną skalę obraz społeczeństwa *bussiness*'owego.

Chicago, City, 27 czerwca.

Dziatwa jest władczynią ulicy. Łobuzerya nieodrosłych od ziemi obywateli przewyższa wszelkie pojęcie, do jakiego jest zdolnym mózg zamorskiego przybysza. Europejscy rodzice, gdyby zostali obdarzeni taką urwisującą się pociechą, sądziliby, że wydali na świat szubieniczników. Moi znajomi, wychowani w Starym Świecie, którzy zrządzeniem losu znaleźli się teraz za Atlantykiem, nie szczędzą słów oburzenia. A jednak z tych urwisów nie wychodzą szubienicznicy, lecz obywatele kraju, bądź co bądź lepsi, niż z troskliwie hodowanych latorośli europejskich, przedewszystkiem zaś samodzielniejsi i energiczniejsi, aniżeli obszczypane i strzyżone pisklęta naszej części świata, przyzwyczajone, ażeby je długo otaczano skrzydłem opieki. Sześcioletni smarkacze zarabiają na utrzymanie sprzedażą gazet, a dwunastoletni czynią dalekie wycieczki. W dzisiejszej gazecie telegram przynosi wiadomość o takim obywatelu z północnej Karoliny. Postanowił zobaczyć wystawę i piechotą wyruszył z domu. Tylko co przybył do jednego miasteczka w stanie Tenessee, zrobiwszy 130 mil. Nikt go nie zatrzyma i nie odstawi do rodziców.

Kilka obrazków swawoli. Wieczorami, w pośrodku ulic — dodajmy, zbudowanych z drzewa — palą się ogromne ogniska. To młode pokolenie rozwesela sobie nudy życia i urządza autodafé, na którem często znajdzie się może elemetarz, a częściej deska, wykradziona z chodnika lub ściany chlewka. Ilekroć wyjdę przed próg mojego mieszkania, mogę oglądać jak z chodnika — wystaje on o jakieś 2 stopy nad ulicę — gromady chłopców i dziewcząt wdrapują się na latarnię i po niej zjeżdżają. Do częstych rozrywek należy podkładanie kamieni pod tramwaje i koleje. Pociąg łamie z trzaskiem lub odsuwa przeszkodę, sprawcy trzymają się opodal— wiedzą, że mogliby otrzymać od konduktora niezbyt przyjemną nagrodę, jedynie trzyletni bęben, bierny towarzysz czynu, stoi tuż przy relsach, dłubie w nosie i z dumą przysłuchuje się przekleństwom konduktora. Niekiedy młodzi obywatele wprawiają się w rzucanie kamieni, a niewiele dbają wtedy o to, że jakiś pocisk przeleci zbyt blizko nad głową starszego współrodaka. Za tydzień uroczystość czwartego lipca — dziatwa wuja Sama z namaszczeniem wprawia się do niej: całe popołudnie na ulicach i zaułkach strzelają petardy, jakaś rakieta wysuwa się z pod nóg przechodnia. Malcy podkładają eksplodujące kapsle na szyny tramwajów, rozumie się prócz huku nie ma innych następstw.

Chicago, wystawa, 2 lipca

Zaczarowany siedzę wśród hałasu i łoskotu poruszających się maszyn w dziale rolniczym. Jestem jako ów tłum, który oglądam na danej mi reklamie. Różnej mowy i różnego stroju ludy gapią się na cuda, które w okienku pokazuje im wujaszek Sam — sprężyna się obraca i w otworze kolejno ukazują się różne nieznanej formy sprzęty rolne. Sądzę, że gdyby wzięto naszego wieśniaka, który spędził całe swoje życie w pracy nad macierzą-ziemią, którego ojcowie i praojcowie nie znali innego zarobku, przeniesiono go tutaj i powiedziano, że znajduje się w obliczu maszyn rolniczych, obraziłby się na sowizdrzała, szydzącego z jego prostoty. Po długiem chodzeniu odkryłby wreszcie kilka znanych sobie kształtów: poznałby pług, a raczej domyśliłby się, że to narzędzie musi być pługiem — z ostrza, które stanowi najbardziej rutyniczną składową część rynsztunku, jakim człowiek kraje łono ziemi. Zdziwiłoby go w pogańskim pługu tylko siedzenie, unoszące się w górze. Co ono znaczy? Czyżby parobek, względnie wieśniak zamorski pozwalał sobie aż na takie fanaberye, czyżby siedział na pługu i swojem ciałem przysparzał ciężarów biednemu bydlęciu. Niestety, miewa on takie zachcianki, a siedzący na pługu trzyma jeszcze w gębie cygaro i czyta gazetę...

Błąkam się po gmachu, na którego murze spostrzegam w jednem miejscu napis: „epoka żelazna w rolnictwie" i przypatruję się sterczącym przede mną zagadkom. Do jakiego celu np. służy ów szereg widelców, ułożonych niby szprycę koła od wozu, zachodzących przy swoim obrocie na inne szprycę, te zaś jeszcze na dalsze? Albo czem jest owe nieskończone płótno pod obracającą się drabiną, które zrobiwszy obrót, wraca na swoje miejsce. Nieznane mi są te kształty z nieznanem przeznaczeniem. A jednak sporą część swego życia spędziłem na wsi i znam swojskie sprzęty gospodarskie. Jedno zrozumiałem: amerykanin nie trudzi nóg swoich chodzeniem. Na każdej niemal łamigłówce umieszczono siedzenie. Ono ułatwia mi odcyfrowywanie nieznanych kształtów. Domyślam się, że gdziekolwiek jest siedzenie, tam mam przed sobą narzędzie, które porusza się po polu, a zatem jest przeinaczonym sierpem, kosą, broną, ręką rzucającą ziarno — pługi wykluczam, bo je odrazu poznaję po ostrzu. Gdzie nie ma siedzenia, tam stoją przede mną zmienione cepy, widły do podawania i inne pokrewne narzędzia. Teraz, kiedy uskuteczniłem tę pierwszą linię klasyfikacyjną, łatwiej odgaduję, do czego służą te różne rebusy. Czynię to już od kilku dni. Do pomocy przychodzą mi rozdawane przez każdą firmę katalogi z różnobarwnymi rysunkami — ta obfitość i rozmaitość kolorów olbrzymio ułatwia studya. Do rysunku dołączono opis użycia, a jednocześnie dodano inny, pokazujący, jak człowiek radził sobie w przeszłości. To zestawienie europejskiej rutyny i amerykańskiego postępu dają mi klucz do tajemnic zgromadzonej w gmachu techniki agronomicznej.

Przy wychodnem spostrzegam swojską sochę i kilka innych zabytków, które dotrwały u nas od czasów legendowego potopu. Czyżby i one były jeszcze w użyciu? Nie! Napis opiewa, że takiemi narzędziami uprawiano ziemię w Misuri w r. 1840. A zatem to ustęp z dzisiejszego archiwum Ameryki, jakiś antyk, pokazywany jako ciekawostka...

Chicago, City, 3 lipca wieczorem.

Tłumy ludzi zamknęły mi drogę. Wzdłuż ulicy ciągną się, niby węże, olbrzymie rury z tkaniny. Przechodzę jeszcze jeden

block *). W mrokach nocy niejasno rysują się jakieś potwory, parskające kłębami dymu z kominów, a w dole gorejące ogniem. Jeden, drugi, piąty... To sikawki parowe! A zatem stoję w obliczu amerykańskiego pożaru!

Płomieni nie widzę, mimo to wśród szaty nocnej powinny wyraźnie wystąpić. Rozglądam się: z po za tego, to znowu tamtego domu unoszą się słupy dymu. Ale po uważniejszem wejrzeniu okazuje się, że pochodzą one od maszyn parowych. Wreszcie spostrzegam rusztowanie drabin. Ogień widocznie już ugaszono. Dziwi mnie, że nie widzę łańcucha strażaków, że tłumy zewnątrz oblepiły dom, w którym wszczął się pożar. A wśród tłumu kręcą się malcy i — jesteśmy w przededniu 4 lipca — rzucają rakiety po nad głowami publiczności, a pod nogami drobne kapsle eksplodujące. Jakaś spora rakieta pryska, kręci się po ziemi i pluje deszczem iskier, a bosy urwis wśród niej tańcuje. Hałas parowych sikawek, wystrzały rakiet, szmer tłumów, ścisk, głosy świstawek — doprawdy, jesteśmy wśród bombardowanego miasta! A — policeman! Ze zdziwieniem spoglądam na tę poważną postać, zapomniałem bowiem o jej istnieniu. Stoi on niby hetman z buławą i z flegmatycznym spokojem spogląda na malca, tańczącego śród rakiety.

L. K.

*) Używam tego terminu amerykańskich polaków. *Block* jest to przestrzeń zabudowana od jednego rogu ulicy do następnego.

KOLEJ ŻELAZNA SYBERYJSKA.

(Dokończenie).

Ciekawe jest pytanie, o ile kolej syberyjska, przeprowadzona aż do Kjachty, może wpłynąć na handel Rosyi z Chinami. Na wystawie geograficznej w Paryżu podnoszono ze szczególnym naciskiem przyszłe połączenie Paryża z Pekinem i projektowi temu przypisywano wielkie znaczenie w handlu wszechświatowym. Ale gdyby nawet, co jest bardzo prawdopodobne, kolej syberyjska sięgnęła już za lat kilka do Kjachty, to przedłużenie jej na terytoryum chińskie pozostałoby jeszcze na wiele lat nieprawdopodobieństwem. Stanowisko polityczne, jakie Chiny zajmują obecnie i jakie prawdopodobnie zajmować będą długo jeszcze w przyszłości, sprzeciwia się urzeczywistnieniu tego projektu, albowiem budowa kolei z Kjachty do Pekinu jest równoznaczna z nadaniem Rosyi przeważnego wpływu w Chinach. Z tą polityczną trudnością łączy się prócz tego fizyczna w postaci bezwodnej pustyni Gobi. Co do samej kolei syberyjskiej, to ta ożywiłaby bezwątpienia handel rusko-chiński i podniosła Kjachtę, ale trzeba tu zauważyć, że rusko-chiński handel karawanowy od dłuższego już czasu chyli się do upadku, albowiem tanie frachty morskie oraz ożywiona działalność niemieckich, angielskich i francuskich linij parowców ściągnęły ku sobie większą część handlu chińskiego. Nie ma wielkich nadziei, ażeby Rosya przez otwarcie kolei do Kjachty zdołała znacznie zaważyć na handlu chińskim i zaszkodzić dzisiejszym stosunkom morskim Niemiec, Anglii i Francyi. Wreszcie trzeba dodać, że Anglia w wyższej Birmie, a Francya w Tonkinie zetknęły się bezpośrednio z południowemi prowincyami Chin, właśnie najbardziej od przyrody uposażonemi i najważniejszemi we względzie handlowym. Wprawdzie nie ma wątpliwości, że kolej syberyjska znacznie skraca czas przewozu; obliczają mianowicie jazdę od Szanghai do Władywostoku na parowcu a dalej koleją syberyjską aż do zachodnich krańców Rosyi na 18—20 dni, podczas gdy podróż morska z Szanghai do Vancouver, stąd do Montrealu na kanadyjskiej kolei oceanu Spokojnego, a z Montrealu do portów angielskich znów na parowcu trwa dni 35, zaś zwykła przez kanał Suezki do Genui lub Marsylii 43—46 dni. Parowce ruskiej floty ochotniczej w drodze z Odesy przez Suez, Aden, Colombo, Singapore, Nagasaki do Władywostoku potrzebują 44 dni. Pomimo to jednak krótsze i szybsze połączenie kolejowe wtedy tylko zdobędzie w handlu przewagę, gdy frachty na kolejach ruskich i syberyjskich będą tak nizkie, iż zdołają wystąpić do konkurencyi z dłuższą wprawdzie, lecz znacznie tańszą drogą, co jest rzeczą wątpliwą.

Rosya ma nadzieję przez otwarcie kolei syberyjskiej znaleźć w Chinach i Japonii odbyt przedewszystkiem na metale Uralu, Ałtaju i kraju Amurskiego, ponieważ bogactwa mineralne Chin nie są należycie eksploatowane i nie pokrywają zapotrzebowań; dalej na produkty syberyjskiej hodowli bydła oraz na futra. Ruski przemysł liczy na zbyt wyrobów bawełnianych i wełnianych. Znacznie trudniej będzie Rosyi przyjąć ważny udział w przewozie produktów chińskich do Europy, albowiem handel ten znajduje się już przeważnie w silnych rękach Anglii. Tylko handel herbatą przedstawia się korzystniej, albowiem anglicy, założywszy plantacye w Indyach, głównie na Cejlonie, zaszkodzili niezmiernie handlowi chińskiemu, tak iż Rosya co do tego artykułu znajdzie w portach chińskich korzystne warunki.

Przechodzimy do drugiej części kolei syberyjskiej, do linii od Bajkału do oceanu Spokojnego, od Irkucka do Władywostoku. Linia ta ma obejść południowo-zachodni róg Bajkału, przeciąć prowincyę zabajkalską przez Czitę i Nerczyńsk i pod Ust'striełką dosięgnąć żeglownego Amuru. Ta część, która ma około 1,550 wiorst długości, prowadzi przez kraje prawie całkiem niezaludnione, porosłe wielkimi lasami. Od Ust'striełki do Chabarówki, głównego punktu w dolnym obszarze Amuru, komunikacya ma się tymczasem odbywać za pomocą żeglugi i dopiero w późniejszych czasach będzie przeprowadzona ta kolej wzdłuż lewego brzegu Amuru. Reszta zaś całej linii kolejowej od Grafskaja pod Chabarówką do Władywostoku (750 wiorst) ma być zaraz wykończona.

Otwarcie robót, jak wspomnieliśmy, nastąpiło już w 1891 r., ale w tym zimnym, bezludnym, lesistym i błotnistym kraju natrafiło na znaczne przeszkody. Już roboty przedwstępne były znacznie utrudnione z powodu braku dobrych map. Linia wzdłuż wybrzeży jeziora Chanka, leżącego na granicy kraju Ussuryjskiego i chińskiej Mandżuryi, prowadzi przez kraj zupełnie bezludny. Grunt jest tak bagnisty, że plant kolei w wielu miejscach ugrzązł. Lato 1892 r. było bardzo gorące, co w związku z wyziewami bagnistymi wywołało wielką śmiertelność pośród robotników chińskich, korejskich i ruskich (skazańców). Dokuczliwe owady czynią przytem pobyt w tych okolicach nieznośnym. W zaroślach nad Ussuri kryły się niedźwiedzie, a nawet tygrysy. W zimie mrozy dosięgały i 40° R.

Część kolei od Irkucka do Władywostoku ma więcej strategiczne, niż handlowe znaczenie. Władywostok, „władca wschodu,“ jest wielkim portem wojennym ruskiej floty oceanu Spokojnego; jeżeli ten port zostanie połączony szynami z metropolią, to Rosya zdobędzie w Azyi wschodniej stanowisko, które nie pozostanie bez wpływu na Chiny i Koreę. Znaczenie Władywostoku jako portu handlowego jest bardzo małe z powodu wyżej wspomnianej konkurencyi parowców angielskich, niemieckich i francuskich, z powodu wreszcie lodów, zamykających ten port przez połowę roku; zamiary zaś Rosyi co do portów korejskich lepiej pod tym względem uposażone znajdą opór ze strony Anglii.

Ogół kosztów budowy kolei syberyjskiej, długiej około 7,000 wiorst, z których tymczasowo odtrącić należy 1,500, przypadających na drogę wodną amurską, obliczają na 350—400 milionów rs.; suma ta ma być rozdzielona na 10 lat. Przypuszczalny niedobór wyniesie rocznie 3½ mil. rubli, co wraz z procentami obciąży skarb rocznie na 21 mil. rubli. Wobec takich widoków za korzystne może być uważane tylko połączenie Rosyi z żyznymi obszarami Syberyi zachodniej oraz górniczą okolicą Ałtaju i to z warunkiem, że przyszła kolej ma służyć w pierwszym rzędzie do celów kolonizacyjnych i tylko w miarę rozwoju kolonizacyi będzie się posuwać krok za krokiem ku wschodowi.

Ruskie posiadłości w Azyi centralnej (Turkiestanie) są oddzielone od Syberyi za pomocą stepów Kirgizkich i posiadają korzystniejsze pod względem kulturalnym warunki geograficzne. Ciekawą jest rzeczą porównać stosunki ekonomiczne i polityczne Azyi centralnej i Syberyi.

Syberya znajduje się prawie cała pod wpływem klimatu polarnego; tylko mała część kraju przypada na pas umiarkowany, który odznacza się tutaj mroźnemi zimami i skwarnemi latami. Przez zajęcie krain nad Syr-Daryą i Amu-Daryą Rosya wkroczyła w pas podzwrotnikowy, dostarczający jedwabiu i bawełny. Aschabad i Merw leżą pod szerokością Tunisu; Kokan, Buchara i Taszkient pod szerokościami środkowych i południowych Włoch. Prócz tego Rosya natrafiła tu na starą i bogatą, jakkolwiek w upadku będącą kulturę, która w starożytności i w wiekach średnich znajdowała się w stanie kwitnienia i której ślady obecnie wszędzie występują na jaw. To też już dzisiaj Azya centralna stała się miejscem zbytu dla ruskich przedmiotów przemysłu i obiecuje znaczne w tym względzie widoki na przyszłość, a to tem bardziej, że słabość państw sąsiednich (Persya, Afganistan) daje Rosyi nadzieję na rozpostarcie się ku tej stronie. Chorossan i afgański Turkiestan znajdują się już obecnie pod wpływem handlu ruskiego, a z czasem może się Rosyi udać całkowite wyparcie handlu angielskiego z Afganistanu i Persyi i rozszerzenie sfery swych interesów do zatoki Perskiej i granic Indyj.

Nowy rozwój Turkiestanu datuje się szczególniej od chwili przeprowadzenia kolei Zakaspijskiej, która pierwotnie miała cel wojskowy, ale po uspokojeniu kraju nabrała znaczenia handlowego. Obecnie kończy się ona w Samarkandzie, ale wkrótce zostanie przedłużona do Taszkientu, a pomnożenie floty na morzu Kaspijskiem i budowa kolei kaukazkich (Władykaukaz-Petrowsk i Władykaukaz-Tyflis) zbliży ją do rynków europejskich.

Z produktów Azyi centralnej zasługują szczególnie na uwagę: nafta, węgiel kamienny i bawełna; pierwsze dwa mają znaczenie tylko dla Rosyi, ale bawełna zaczyna już zdobywać rynki europejskie, jako tańsza od amerykańskiej. Udaje się ona najlepiej w okolicach Taszkientu, Samarkandy i Kokanu; szczególnie odznacza się w tym względzie prowincya Fergańska. W r. 1891 przerobiono w Rosyi 12 milionów pudów, głównie w obwodach przemysłowych moskiewskim i łódzkim; z tego 60% przypada na amerykańską. Trzeba tu jednak zauważyć, że na rynkach europejskich bawełna turkiestańska spotka się niętylko z amerykańską, ale także z egipską i indyjską.

Rosyanie, podbiwszy Turkiestan, znaleźli już kulturę bawełny u tamtejszej ludności; dla podniesienia tej kultury zaaklimatyzowano tu bawełnę amerykańską i próba dobrze się powiodła. Pominąwszy plantacye Buchary i Chiwy, Turkiestan po-

siada obecnie 10,000 klm. plantacyj bawełnianych, z których około ¼ przypada na prowincyę Fergańską. Utrzymanie i rozszerzenie tych plantacyj zależy od sztucznego nawadniania, bez którego cały prawie Turkiestan byłby bezpłodnym stepem. System kanałów był niegdyś w wybornym stanie, a Samarkanda i Merw były ogniskami wysokiej mahometańskiej kultury. Obecnie upadłe miasta podnoszą się powoli ze swoich ruin, dzięki ulepszeniu dawnych kanałów, które równa się pod względem kulturalnej doniosłości zaprowadzeniu nowych dróg komunikacyjnych.

Azya centralna będzie wzorem dla Syberyi pod względem wpływu, jaki koleje żelazne wywierają na ekonomiczny podbój kraju.

W. N.

PAMIĘTNIK.

Ulewy.

Ze wszech stron nadchodzą wiadomości o „oberwanych chmurach," a prościej mówiąc, o nadzwyczajnych ulewach. Niemcy, kraje austryackie i bałkańskie były kilkakrotnie widownią wściekłych pląsów burzy, która usiłowała zatopić to, czego nie mogła wywrócić. W Tatrach wezbrane potoki poniszczyły drogi i przerwały komunikacyę. Zakopane było długo odcięte od kolei, a i dotychczas jeszcze nie wróciło do dawnego stanu. Wezbrane potoki w Wilnie wdarły się do domów z taką gwałtownością, że zatopiły siedemnaście śpiących osób, mieszkańców suteren, którzy nie zdołali uciec przed wpadającemi z ulicy falami. Gwałtowna ulewa rozerwała również plant drogi Nadwiślańskiej pod stacyą Maciejowicami, tak że pociągi między Kowlem a Warszawą wcale nie kursowały. Wogóle rok bieżący bardzo obfitował w burze i podczas gdy w pierwszej połowie dokuczał suszą, w drugiej dokucza ciągłymi deszczami. Na wiosnę drzewa i zasiewy ucierpiały od braku wilgoci, teraz znowu cierpią od jej nadmiaru. Rolnicy zwłaszcza skarżą się na niemożliwość zbioru plonów, któremu przeszkadzają ustawiczne, po kilka razy dziennie spadające deszcze. Skutkiem nich zaczynają również gnić kartofle. Wogóle koniec lata mocno przyćmiewa różowe nadzieje ziemian, którzy nie spodziewali się od niego takich niespodzianek. Trudność zbioru i straty spowodowane deszczami prawdopodobnie oddziałają w kierunku podwyżki na ceny zboża, spychane ku dołowi wysokiem cłem niemieckiem. Inaczej trudno byłoby wytłomaczyć sobie dość wysokiego ich poziomu, pomimo zwiększonej o 50% taryfy. Zresztą każdego dnia, który otworzy epokę pogody, może położenie się zmienić i zamknąć rachunek rolny pomyślnym rezultatem.

Wyzyskiwanie flisaków.

Warsz. gub. wiedomosti wydusiły szereg ciekawych szczegółów, ilustrujących straszny wyzysk, którego ofiarą padają flisacy, najmowani do spławu tratew drzewa na Wiśle. Według tego organu przez Nieszawę przepływa około 20 tysięcy „orylów," płatnych od 12 do 15 rs. miesięcznie przy pierwszych wiosłach a od 7 do 10 przy dalszych z dodatkiem 6 rs. strawnego. Ten zarobek letni pozwala im z biedą przeżyć zimę i doczekać wiosny, w której zaraz po ruszeniu lodów idą znowu na wodę, naturalnie jeżeli im nie przeszkodzi brak sił, który ich zwykle skazuje na niedolę żebraczą. Ale nie wszyscy mogą „oszczędzać" i odkładać na zimę, niektórzy muszą podczas lata pomagać rodzinom; nie pozostaje im wtedy nic innego, jak dokonywać „oszczędności" na strawnem, to jest karmić się wyłącznie chlebem i wodą. W roku ubiegłym, według spisów urzędowych, przepłynęło Wisłą około Warszawy 9½ tysiąca flisaków; z tej liczby więcej niż połowa przypada na poddanych austryackich (galicyan), resztę zaś stanowili robotnicy z Niemiec i wewnętrznych gubernii Cesarstwa; z Królestwa było niewielu. Władze po raz pierwszy zwróciły na nich uwagę z powodu cholery, której na tratwie Kleinbauma uległ Jan Łysiak. Wydane w październiku r. z. przepisy zobowiązywały szyprów do pilnowania czystości na statkach, dobroci jadła flisaków oraz ich zdrowia. Rozprządzenia te osiągnęły częściowy skutek, ażeby jednak wydobyć flisaków z niewoli i ochronić od wyzysku, postanowiono zmienić sposoby ich wynajmowania. Dotąd zgłaszają się oni sami do faktorów, którzy zawierali z nimi umowy, określające wszakże tylko obowiązki najmitów i poddające ich samowoli handlarzów drzewa. Otóż ci faktorzy mają być zniesieni. Ale łatwiej chcieć, niż wykonać. Potrzeba długiej pracy, starań i zabiegów, ażeby wykorzenić to zielsko, rozrastające się na gruncie wszystkich stosunków ekonomiczno-społecznych, zwłaszcza zaś stosunków najmu. Faktor, pośrednik — jest dziś główną i nieuniknioną instancyą wszelkich umów, a jeżeli on panuje wszechwładnie nad ludźmi inteligentnymi, to cóż dopiero mówić o prostaczkach. W każdym razie dobry i zamiar podania im ręki w niedoli.

Zakończona sprawa.

Ze strony formalnej już można uważać za zakończoną sprawę likwidacyi b. kasy zjednoczenia na kolei Terespolskiej. Nadeszła bowiem ostateczna decyzya ministeryum, polecająca zarządowi tej kasy sprzedanie papierów procentowych stanowiących jej majątek. Przedstawiają one dziś nominalną wartość 809,100 rs., które mają być rozdzielone między 259 emerytów, 94 wdowy i 156 sierot. Dopiero po zamianie tych papierów na monetę będzie wiadoma suma przeznaczona do podziału. W każdym razie przypadająca na każdego uczestnika część nie będzie niższa od jego 7 razy wziętej pensyi emerytalnej.

Jak wiadomo, ci, którzy nie wysłużyli praw emerytalnych i pozostali na służbie a potem spadli z etatu, otrzymają swe składki z t. z. funduszu akcyonaryuszów, wynoszącego 350,000 rs.

Sprzedaż papierów, obliczenie udziałów i rozpłata zajmie jeszcze kilka tygodni czasu, nie później wszakże, niż w październiku, wszyscy uczestnicy kasy otrzymają swoje pieniądze. Chwila ta jest przez nich oczekiwana z wielkiem upragnieniem, gdyż dotychczas pobierali zaledwie trzecią część pensyi, która im naturalnie nie wystarczała na potrzeby życia. Dawniejsi emeryci spodziewali się więcej, mianowicie otrzymywania emerytury do końca życia, ale obecnie rozcięcie węzła jest jeszcze najlepszem z tych, jakie pierwotnie groziły po zwinięciu kasy.

Zepsuta harmonia.

Jak czytelnicy przypominają sobie, do współzawodnictwa z panującą wszechwładnie na Wiśle flotą p. Fajansa wystąpił przed kilku laty p. Górnicki. Rezultatem walki było takie zniżenie cen przejazdu statkami parowymi, że była chwila, w której oba przedsiębiorstwa okazywały chęć... dopłacania swoim pasażerom. Konkurencya toczyła się tak zawzięcie, że nieraz wrogie parowce najeżdżały się wzajemnie i groziły niebezpieczeństwem swoim załogom. Nareszcie pp. Fajans i Górnicki przyszli do przekonania, że zamiast rozdzierać między sobą skórę, lepiej się nią zgodnie podzielić. Zawarli więc układ, którego owocem była znaczna podwyżka cen przejazdu. Odtąd zapanowała braterska harmonia. Aż tu nagle wyrosła z pod ziemi nowa spółka, która idąc śladami pana Górnickiego, postanowiła ją naruszyć. I powtórzyłaby się niezawodnie dawna walka, z dawną licytacyą opłat za bilety *in minus*, gdyby nad współzawodnikami nie powiał duch zgody. Pisma donoszą, że „przedsiębiorstwa konkurencyjne żeglugi parowej na Wiśle naradzają się od kilku dni nad ułożeniem taryfy pasażerskiej i transportowej." To znaczy, pp. Fajans i Górnicki, nauczeni doświadczeniem własnej walki, postanowili jej nie prowadzić ze spółką „Kuryer," lecz odrazu z nią się ułożyć.

Tym sposobem zepsuta harmonia byłaby szybko przywróconą dzięki... „dobrej woli stron." Rozumie się, publiczność, która korzystała na ich złej woli, zapłaci za dobrą. Ale nie powinna na to sarkać, bo chociaż nie będzie jeździć tanio, ale przyczyni się do wzrostu cnót altruistycznych i do usunięcia ducha niezgody.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Według 1350² paragrafu ustawy o karach, fabrykanci obniżający samowolnie lub przedwcześnie płacę roboczą, albo też wypłacający robotników kuponami lub towarami, szczególnie jeżeli wywołali tem zaburzenia podlegają aresztowi do 3-ch miesięcy z pozbawieniem na zawsze prawa zawładywania zakładami przemysłowymi. Karę tę uznano za zbyt surową i zaprojektowano złagodzenie jej tak, ażeby winny fabrykant tracił powyższe prawo tylko na 2 lata. Proponują również zwiększenie kary za spóźnienie się robotników, która nie mogła dotychczas przenosić trzydniowego zarobku, do wysokości sześciodniowej płacy. (*Warsz. Dniew.*).

— W Finlandyi powstanie instytucya „uriadników" na wzór istniejącej w Cesarstwie. (*Now. wr.*).

— Wydano rozporządzenie zaopatrzenia w żyto magazynów gminnych (*Birż. wied.*)

— Z rozporządzenia oberpolicmajstra wkrótce będzie otwarty w Warszawie dom zarobkowy dla uboższej ludności.

— Sprawca zamachu na życie K. P. Pobiedonoscewa, Hiacyntow, został oddany dla obserwacyi lekarskiej do szpitala obłąkanych. (*Nowosti*).

— Z początkiem r. p. apteki, z wyjątkiem wiejskich, obowiązane będą wykupywać świadectwa II-ej gildyi.

— Według *Warsz. Dniew.* istnieje w gmachu teatru skarbkowskiego we Lwowie loża masońska, której uczestnikami są wyłącznie inteligentni, bezwyznaniowi żydzi. Członkowie loży mają się otaczać wielką tajemniczością i odbywać swoje posiedzenia w nocy przy zamkniętych hermetycznie wszystkich otworach sali. O istnieniu tej loży wie jakoby doskonale lwowska policya, i jakoś mimo wielkiej wrażliwości na wszelką nielegalność i ciekawości względem rozmaitych tajemnic nie zakłuca spokoju farmazonom.

Szkoły. Według *Warsz. Dniew.* wyższa szkoła rzemieślnicza w Łodzi przekształcona będzie na przemysłowo-techniczną. Jednocześnie w różnych centrach przemysłowych kraju powstaną szkoły techniczne: mechaniczno-techniczna i górniczo-techniczna w gub. kieleckiej, techniczna gospodarstwa wiejskiego w Maryampolu gub. suwalskiej i mechaniczno-chemiczna oraz budowlano-techniczna w Warszawie. Ostatnie z wymienionych wymagają nakładu 69,126 rs. Oprócz tego powstanie w Warszawie prawidłowo zorganizowana szkoła handlowa. Wprowadzenie powyższego planu w wykonanie kosztować ma 210,000 rs. W sprawie zdobycia tak znacznego kapitału *Warsz. Dniew.* radzi zamknięcie progimnazyów męzkich i żeńskich jako zakładów niekompletnych i niemających zakończonego kursu.

— W gub. twerskiej powstaje szkoła gospodarstwa nabiałowego i fabrykacyi serów, w pskowskiej — u-

prawy lnu, w taurydzkiej — produkcyi wina, w Kutaisie — jadwabnictwa.

— W Radomiu otwarto szkołę rzemieślniczą dla kobiet.

Zdrowie publiczne. Wydano rozporządzenie otwarcia baraku dla cholerycznych na Pradze. Chorzy mogą być przewożeni do samego zakładu w wagonach sanitarnych. Osoby towarzyszące chorym będą poddawane izolacyi i dezinfekcyi, a biedniejsi otrzymają bezpłatnie herbatę i żywność.

— Wypadki podejrzane o cholerę zdarzyły się w Galicyi. W Anglii zaszedł jeden wypadek cholery.

Dobroczynność publiczna. H. Wolf zapisał na rzecz warszawskiej gminy izraelickiej 2,000 rs. z warunkiem wypłacenia procentów ubogim w rocznicę śmierci jego żony.

Wypadki. W kurskiej gub. wilk wściekły pokąsał 40 osób a jedną rozszarpał. 31 pokaleczonych przywieziono w oddzielnym wagonie do charkowskiego instytutu szczepienia wścieklizny — przeważnie dzieci od 11-tu lat do kilkumiesięcznych. Zajścia były straszne. Zwierzę przebiegło około 35 wiorst, wpadając do wsi i napastując spotkanych ludzi. Jedno dziecko rozszarpał w oczach patrzących, pastwiąc się nad drgającymi członkami, póki widział ślad ruchu. Ofiarom odgryzał nosy, wydzierał oczy, odrywał kawałki szczęk lub zdzierał skórę z głowy. Z pokąsanych wielu umrzeć musi wskutek ran. Zwierząt domowych nie oszczędzał również.

— W pow. ostrołęckim burza zniszczyła wieś, składającą się z 20 domów, zrywając dachy, rozwalając kominy, wydzierając drzwi i okna. Niektóre przedstawiają kupy gruzów. Pola okoliczne zamienione w pustynię, pokrytą szczątkami budowli i drzew. Mieszkańcy ocaleli dzięki robotom w polu, pozostałe zaś kobiety i dzieci schroniły się do jednej chaty, której ściany wytrwały. (*Warsz. Dniew.*).

Wystawy. Postanowiono przedłużyć termin ulg na kolejach ruskich dla przewozu przedmiotów wysyłanych na wystawę kolumbijską do 1 marca 1894 r. (*Kijewskoje słowo*).

Zmarli. Eligiusz Maleszewski, heliominiaturzysta, znany pod pseudonimem „Eli". Sztukę swoją wprowadził jeden z pierwszych do Warszawy.

— Ukończyłem wydział matematyczny Uniw. warsz.; (mam lat 22). Pragnąc, dla odbycia specyalnych studyów, wyjechać na 1½—2 lat za granicę, a nie posiadając środków ku temu, upraszam o udzielenie mi pożyczki w ilości 400 rs. Bliższych wiadomości udzieli Redakcya *Prawdy*.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 6 Августа 1893 г.

Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.